

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

P I S M A

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE
ZE WSTĘPEM ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO

TOM 12

SPRAWIEDLIWIE

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA .2.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

SPRAWIEDLIWIE



WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.½

WARSZAWA, 1914



Wszelkie prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

Noc była przedwiosenna — marcowa, noc pełna deszczów, zimna i wichrów.

Lasy stały pokurczone i odrętwiąłe, przemoknięte do szpiku; chwilami wstrząsał niemi dreszcz lodowaty, bo się trzęsły febrycznie i jakby trwożą ogarnięte rozwijały gałęzie, otrząsały się z wody, szumiały ponuro, zaczynały sieć ciemności i oszalałe bólem marznięcia — wyły dziką pieśń katowanych bezlitośnie.

Chwilami polatywał mokry śnieg i jakby przyciszał wszystko i mroził, że lasy milkły i opuszczały się bezwładnie i cichły — tylko wskroś mroków, wskroś puszczy, wskroś tych pni potężnych, oniemiałych nagle, włókł się jakiś cichy a bolesny jęk, lub zrywał się ostry, przerażający krzyk marznącego ptaka i suchy trzask spadającego po gałęziach ciała.

To znów przychodził wiatr, milczkiem czołgał się w ciemnościach i rzucał z furją na lasy, wilgotnemi kłami wżerał się w głębię, topił śniegi,

obrywał gałązki, łamał gęste podszycia i z wyciem triumfu tarzał się po polanach i miotał borem, jakby kępą trzciny wiotkich — a wtedy z głębin nocy, z tych przerażających pustek przestrzeni, wyczołgiwały się ogromne, brudne chmury, podobne do rozwichrzonych, a przegniłych stogów siana, opadały na lasy, czepiały się wyniosłości, okręcały podartymi strzębami drzewa, dusiły je w ohydny uścisku i mżyły zimnym, nieustannym deszczem, przenikającym nawet kamienie.

Noc była straszna: drogi puste i zalane błotem, pomieszanem z resztkami śniegów; wsie ciche, jakby wymarłe, pola martwe, sady bezlistne i pokurczone, rzeki w kajdanach lodów — nigdzie człowieka, nigdzie głosu życia — jeno ogromne królowanie nocy.

W jednej tylko karczmi Przyłęckiej błyskało małe światełko.

Karczma stała wśród lasów, na rozdrożu; poza nią, na zboczu góry, majaczyło kilka chałup, a dookoła stał potężny, czarny bór.

Jasiek Winciorek wysunął się ostrożnie z gąszczów na drogę i, dojrawszy migocące światełko, chyłkiem podszedł do okna. Długo stał bezradnie, rozglądał się po wnętrzu karczmy, nasłuchiwał, to rzucał strwożone spojrzenia dokoła, nie wiedział, co począć; — bał się wszystkiego tak, że się już cofnął od okien, już zrobił kilka kroków ku lasom, ale zawiął wiatr i takim zimnem go przejął, iż chłopak zaczął się trząść w sobie, więc się zawrócił, przeżegnał i wszedł do karczmy.

Karczma była wielka; czarny pułap wisiał nad glinianą podłogą i przyciskał pokrzywione ściany odarte z wapna, przecięte dwoma okienkami nawpół oślepleni, zapchanemi słomą.

Nawprost okien, za grubą drewnianą kratą stał szynkwias, bokiem przyparty do wielkich beczek, na których kopciła się czerwono lampka naftowa. Izbę zalegał gęsty mrok, rozświetlany błyskami ognia, dogasającego na wielkim, staroświeckim kominie, przy którym rozłożyła się jakaś para dziadowska. W drugim kącie, prawie ciemnym, majaczyło kilkanaście osób, zbitych w kupę i coś tajemniczo szepczących. Przed szynkwiasem stało dwóch chłopów; jeden ścisnął butelkę w garści, a drugi podstawiał kieliszek, przepijali gęsto do siebie i kiwali się sennie.

Tłusta, czerwona dziewczka chrapała za kratami, oparta o beczki.

Zapach wódkii, pomieszany z zapachem rozmiękłej gliny i przemokniętych szmat, rozwłóczył się po karczmie.

Chwilami taka cisza opadała na izbę, że słychać było szum lasu, brzęczenie deszczu po szybach i trzask świerkowych gałązek w kominie, a wtedy niskie drzwi, ukryte za kratami, otwierały się ze skrzypem i wyglądała z nich stara, siwa głowa Żyda, ubranego w modlitewne szaty i śpiewającego półgłosem; a za nim jaśniała oświetlona świeczkami izba, z której, razem z szabasowemi zapachami, bu-

chał przyciszony odgłos monotonnych, smutnych śpiewów.

Jasiek wypił kilka kieliszków jeden po drugim i gryzł zapamiętałe suche, zapleśniałe bułki, ciągnące się w zębach jak rzemień, przegryzając je śledziem i pilnie bacząc na drzwi, to na okno, a jeszcze pilniej łowiąc wszystkie szemrzące w karczmie głosy.

— Żenić, nie psiekurki, żenił się nie bede!— krzyknął naraz chłop, trzasnął butelką o szynkwias i splunął aż na plecy dziada, siedzącego przy kominie.

— A żenić się musisz, abo pieniądze oddać! — szepnął drugi.

— Loboga, tyła pinindy! Jewka, kwaterkę śpritu, ja płacę!

— Pieniądz wielga rzec — baba większa...

— Nie, psiekurki, żenił się nie będę, wyprzedam się, zapożyczę, pieniądze oddom, a żenił się nie będę z tą zapowietrzoną.

— Napijno się do mnie, Antek, coć rzeknę...

— Już wy mnie nie ocyganicie. Pedziałem nie, to nie, a jak co—to uciekne choćby do Brezylji, ano, z tymi ludźmi, na kraj świata...

— Głupiś! napijno się do mnie, Antek, coć rzeknę...

Przepili do siebie po razy kilka i zaczęli całować się naprzemian i zmilkli, bo dziecko zapłakało w drugim kącie, a pomiędzy cicho i trwożnie siedzącą gromadą ruch się jakiś zrobił.

Wysoki, suchy chłop wynurzył się z ciemności i wyszedł z karczmy.

Jasiek przysunął się do ognia, bo ziąb go przemawiał do kości, śledzia nadzieiał na patyk i zaczął go przypiekać na węglach.

— Odsuńcie-no się ździebko-- szepnął do dziada, który bosc nogi trzymał na torbach, a choć był całkiem ślepy, suszył przy ogniu przemoknięte onuce i wciąż pocichu rozmawiał z babą, zajętą przygotowywaniem jadła i dokładaniem gałązek pod denarek, na którym stał garnek.

Jaškowi cieplej się zrobiło, a z jego kapoty szła para jakby z cebra z gorącą wodą.

— Niezgorzyšta zmiękli! — szepnął dziad, pociągając nosem.

— Przecie — szepnął i drgnął gwałtownie; drzwi skrzypnęły, ale to wszedł ten chudy chłop i zaczął coś półgłosem opowiadać gromadzie, kupiącej się do niego.

— Nie wiecie, kto to?--szepnął Jasiek, trącając dziada w rękę?

— Tamte! a kto? Głupie, jada do Brazylii— odrzekł, spluwając.

Jasiek już się nie odezwał, suszył się i raz po raz wodził oczami po karczmie, po ludziach, którzy, targani jakimś niepokojem, to mówili coraz głośniej, to milkli nagle i co chwila ktoś z nich wychodził z karczmy i powracał natychmiast.

Z alkierza szerzyły się coraz monotonniej głosy śpiewów, aż jakiś wychudzony pies wypełznął

skądciś do ognia i zaczął warczeć na dziadów. Dostał kijem, aż zaskowyczał z bólu, położył się na środku izby i żalnym, głodnym wzrokiem patrzył na parę unoszącą się nad garnkiem.

Jaškowi było coraz cieplej, zjadł śledzia i resztę bułek, ale równocześnie poczuł, że jeść chce mu się teraz jeszcze srożej. Obmacał kieszenie drobiazgowo i nie znalazłszy ani grosza, skulił się tylko i bezmyślnie zapatrzył w garnek i w czerwone płomyki ognia.

— Chce się wam jeść, co? — zagadnęła baba po chwili.

— I... ździebko mi ta w brzuchu kruczy...

— Kto to? — zapytał dziad pocichu kobiety.

— Nie bój się, nie da ci złotówki, abo i grosika... — mruknęła złośliwie...

— Gospodarz?

— Taki, jak i ty, ze świata! — szepnęła, zdejmując garnek z denarka.

— Ino ludzie dobre są ze świata... zwierz, abo druga świnia ze chliwa... He?... — szturgnął Jaška kijem.

— Prawda, prawda — odpowiedział chłopak bezmyślnie.

— Coś macie na wąpiach, tak miarkuję... — szepnęła dziad po chwili.

— A bogać tam nie mam...

— Pan Jezus zawždy mawiał: jakeś głodny — jedz, jakeś spragniony — napij się, a jakeś cierpiący — nie gadaj!

Jasiek podniósł znękane, pełne łez oczy na dziada.

— Zjedzcie ździebko, dziadowska to potrawa, ale wam pundzie na zdrowie, zjedzcie... — prosiła baba, nalewając mu sporą porcję na jakąś skorupę. Wyciągnęła z torby kawał razowego chleba i podsunęła nieznacznie, a potem, gdy się do jadła przysunął bliżej, kiedy ujrzała jego twarz strasznie wynędzniałą, szarą i jakby odartą z ciała, tknęła ją taka litość, że wydobyła kawał kiełbasy i położyła mu na chlebie.

Jasiek oprzeć się głodowi nie mógł, ani zaproszeniom, więc jadł łapczywie, rzucając od czasu do czasu jakąś kość psu, który się przyczołgał do niego i patrzył prosząco.

Dziad słuchał długo, a potem, gdy i jemu baba wetknęła w garść garnek, podniósł łyżkę do góry i rzekł uroczyście:

— Jedzcie, człowieku. Pan Jezus powiedział: dasz biednemu grosz, to ci drugi odda dziesiątką... Jedzcie z Bogiem, człowieku...

Jedli w milczeniu.

A w przestanku dziad otarł rękawem usta i powiedział:

— Trzech rzeczy potrzeba, żeby jadło poszło na zdrowie: gorzałka, sól i chleb; —daj, babo, gorzałki! Napili się wszyscy troje i jedli dalej.

Jasiek prawie zapomniał o niebezpieczeństwie, nie rzucał już trwożnych spojrzeń na karczmę, ani na okna i drzwi. Jadł tylko, nasyczał się ciepłem, nasyczał zwolna ten czterodniowy głód, jaki mu

żał wewnętrznosci, uspakajał się tą ciszą, jaka zapanowała w izbie.

Chłopi z przed szynkwasu poszli, a gromada w kącie, porozkładana na ławach i mokrej podłodze, z głowami na tobołkach, drzemała cicho. Z alkie-rza tylko dochodził coraz senniejszy szmer śpiewów.

A deszcz padał wciąż i przeciekał przez dach, bo w kilku miejscach kapało z pułapu i na glinianym toku tworzyły się okrągłe, grząskie i lśniące place błota. Czasem wiatr zatrząsł karczmą, huczał w kominie, rozrzucił ogień i wypychał dym na izbę.

— Naści i tobie, obieżyświacie — szepnęła, dając resztki jadła psu, który kręcił się koło nich i żebrał oczami.

— Jak se człek w brzucho co włoży, to mu i w piekle niezgorzej — powiedział dziad, odstawiając próżny garnek.

— Bóg wam zapłać za pożywienie. — Ścisnął dziada za rękę, ale ten nie puścił mu jej zaraz, tylko obmacywał delikatnie.

— Bez parę roków niceście rękami nie robili — mruknął.

Jasiek zerwał się trwożnie.

— Siadaj, nie bój się. Pan Jezus powiedział: wszystkie są sprawiedliwe, które się boją Boga i wspomagają biedne sieroty. Nie bój się, człowieku. Nie Judasz ci ja, ani Żyd, ino chrześcijan sprawiedliwy i biedna sierota...

Zamyślił się chwilę, a po tem przyciszonym głosem mówił:

— Na trzy rzeczy bacz: byś kochał Pana Jezusa, nie był głodny i dawał biedniejszemu—a reszta, to samo nic, paskudny wymysł ludzki... Mądrymu potraza o tem wiedzieć, aby się nie frasował po próżnicy... Wie się i to i tamto, i niejedno... He! co mówicie?...

Nastawił uszu i czekał, ale Jasiek nie odrzekł nic, milczał uparcie, bał się zdradzić, więc dziad wydobyl tabakierkę łubianą, trzepnął w nią palcem, zażył, kichnął i podał chłopakowi, a nachyliwszy do ognia swoją ogromną, oślepiłą twarz, zaczął mówić cichym, monotonnym głosem:

— Nie jest sprawiedliwie na świecie, nie. Po faryzejsku ino wszędy, a na urwisa, kto kogo przódy przeprze, kto kogo prędy ocygani, kto kogo prędy zaklyzni. Nie tego Pan Jezus chciał na świecie, nie tego. Hale! przyjdiesz do jakiego dworu i czapke zdejmiesz i śpiwasz, jaże gardziel pęka, i o Jezusie, i o Marji, i o wszystkich świętych, czekasz—nic; dołożysz parę pacierzy do Przemienienia Pańskiego, czekasz— a oto ino pieski ochotnie piszczą do twoich torbów i dziewczki gzą się za płotami; dodajesz jeszcze litanję—wynoszą ci dwa grosze, albo spleśniałą kromkę chleba! Abyśta juchy poślepiły i same jeszcze dziadów prosiły o wspomozienie. A to po takim modleniu, to me samego gorzałka kosztuje więcej, coby se gardziel przepłókać!...— Splunął ze złości.

— A bo to drugim lepiej, co?—ciągnął znów po zażyciu tabaki. — Jantek Kulik, ano ten z Dę-

bów... wzion dworskiego prosiaka... myślisz, że użył? a juści... chudo jucha była, kiej pies dworski... całą tłustość można było wytopić do kwarty gorzałki... To zato go wzieny i zasądziły na pół roku siedzieć... I za co? Za marnego prosiaka! Jakby to swyniak nie był też boskiem stworzeniem... i jakby to jedni mieli mrzeć z głodu, kiej drugie mają wszyckiego po grdykę... A przecież Pan Jezus powiedział:— Co weźmie biedny, to jakbyś dał dla mnie samego. Amen! — Napijesz się, co?

— Bóg zapłać, kiej me już rozebrało zdziebko.

— Głupiś! I Pan Jezus pił na godach. Pić, to nie grzech:—grzech ino schlać się, kiej swynia, nie wypić Bożego daru do dua i siedzieć nie mówiący, kiej dobrzy ludzie gadają...

— Przypijcie do mnie! — szepnął z determinacją.

Dziad przepił butelką, aż mu długo bulgotało w gardle, a podając Jaskowi, rzekł wesoło:

— Pij, sieroto! Na trzy rzeczy ino bacz: byś robił cały tydzień, pacierz mówił w niedzielę i dawał biednemu—a zbawienie duszne miał bedziesz. Człowieku, mówię ci, nie możesz pić kusztyczkim, to napij się kwartą...

A potem zamilkli wszyscy.

Baba spała z głową zwisłą przy ogniu przygasłym, dziad wyrzeszczał zasze bielmem oczy na czerwone węgielki i raz po raz kiwał się zawzięcie; głosy i szepty w kącie pomilkły, tylko wiatr coraz silniej uderzał w szyby i wstrząsał drzwia-

mi, a z alkierza zrywały się głosy śpiewów przepojonych jakby żalem i rozpaczą...

Jasiek był już zupełnie zmorzony ciepłem i wodką, czuł się tak sennym, że wyciągnął nogi przy ogniu i miał nieprzepartą chęć położenia się... Bronił się jeszcze odruchami świadomości, odruchami strachu, ale już co chwila zapadał w stan zupełnego odrętwienia, że nie pamiętał o niczem. Tuman rozkoszny, pełen ciepła, blasków ognia, jakichś słów dobrych, spokoju i ciszy omraczał go zupełnie i przejmował głębokiem uczuciem zadowolenia i bezpieczeństwa.

A czasem się budził nagle, niewiadomo dlaczego, obrzucał wzrokiem karczmę i słuchał przez chwilę dziada, który drzemiąc, mruczał:

— Za wszystkie duszyczki w czyścju zostające— Zdrowaś Marja, łaskiś...

— Człowieku, mówię ci, że dobry dziad mieć powinien: kij z jeżem, głęboką torbę i długi pacierz...— Rozbudził się i czując Jaśka oczy na sobie, mówił już przytomnie.

— Słuchasz, co mówi stary — to mówię ci, napij się do mnie... i słuchaj jeszcze. Człowieku, mówię ci: bądź mądrym, ino tego nikomu w oczy nie ciep. Obacz wszystko, ale na wszystko bądź ślepym... Żyjesz z głupim—bądź od niego głupszym... z kulawym—nie miej wcale kulasów; z chorym—umieraj za niego. Dadząć grosz... dziękuj, jakby za złotówkę... Wyszczują cię psami... ofiaruj to Panu Jezusowi... Zleją kijem... zmów pacierz...



Człowieku, mówię ci: rób coś radzę, a torby miał będziesz pełne, brzuch kiej kłodę, a cały świat poprowadzisz na postroneczku, kiej głupiego bydłaka... He! he! he! nie dzisiejszym człowiek, nie; wie się i to, i tamto, i drugie!... Kto ma pomiarkowanie, jak to świat jest, temu źle nie będzie. We dworze pomstuj na chłopów—pewny grosz i ochłap z obiadu; u księdza: na chłopów i na dwory — pewne dwa i rozgrzeszenie; w chałupach na wszystkich—a będziesz jadł jakby ze słoniną i pił wódkę z tłustością... Człowieku, mówię ci... Za duszę Juliny. Zdrowaś Marja!.. —zaczął bezwiednie sennym głosem, chwając się na ławce...

— Łaskis pełna... Wspomóżta biednego kalekę...—zaczęła trzepać baba, podnosząc przez sen głowę z komina.

— Cichoj, głupia!—krzyknął, budząc się nagle, bo drzwi wchodowe głośno zatrzeszczały i wsunął się niemi wysoki, rudy Żyd.

— W drogę, już czas!—zawołał głucho i natychmiast cała gromada drzemiących zerwała się na nogi; zaczęli się obładowywać tobołami i ubierać, kupić, to wysuwać na środek izby, to cofać bezładnie. Gwar przyciszony, trwożny, pełen akcentów, skarg, czy żalów zerwał się ze wszystkich piersi. Słowa krzyżowały się gorączkowo; nawoływania, szepty, przekleństwa, tupania, to znów początki pacierzy mówionych półgłosem, rumor, płacz dzieci—wszystko to przyciszone, jakby siłą powstrzymy-

wane, napełniło ponurą, czarną izbę dziwną grozą i strachem.

Jasiek przebudził się zupełnie i przyciśnięty plecami do boków stygnącego komina, przyglądał się ludziom ciekawie, o ile można było widzieć ich kontury w ciemnościach.

— Gdzie oni idą — zapytał dziada.

— Do Brazylii.

— Daleko?

— Ho! Ho!... Na kraj świata, za dziesiąte morze.

— Laczego. Poco? — rzucił jeszcze ciszej.

— Raz, że są głupie, a drugie, że są biedne...

— A znają to drogę? — zapytał znów zdumiony ogromnie.

Ale dziad już nie odpowiedział, szturchnął babę kijem, wysunął się ku środkowi izby, ukląkł i zaczął płaczkliwym, śpiewnym głosem:

— Za morze idzieta, za góry, za lasy... na kraj świata, to niech wam Pan Jezus błogosławi, sieroty! Niech was ta Częstochowska Panienska trzyma, niech waju wszyscy święci wspomagają, za ten grosz, co go dacie biednemu kalece... Do Przemienienia Pańskiego Zdrowaś Marja...

— ...Łaskiś pełna, Pan z Tobą... — trzepała baba, klękając obok.

— ...Błogosławionaś Ty między niewiastami — odpowiedziała gromada, wysuwając się na środek.

Wszyscy poklękli, zerwały się ciche płacze, głowy się pochyliły, a serca z największą wiarą

i pokorą oddawały się modlitwie. Gorący wiew ufności rozpałił przygasłe oczy i wynędzniałe szare twarze ludzi, prostował przygięte ramiona i tak wzmacniał, że wstawali od pacierza silni, niezmoczeni.

— Herszlik! Herszlik! — wołali na Żyda, który znikł w alkierzu.

Było im pilno iść w ten świat nieznany, tak straszny przez to, a tak pociągający.

Było im pilno brać się za bary z nową dolą, a uciekać od starej.

Herszlik wyszedł, uzbrojony w ślepą latarkę, porachował ludzi, kazał się im ustawić w pary, otworzył drzwi i ruszyli — jak widmowy zastęp nędzy, jak sznur cieniów, okrytych w łachmany, przygarbionych ciężarem tego jutra, do którego szli z mocą nadziei...

Przepadli zaraz w ciemnościach i deszczu.

Tylko w mrokach nocy i rozkołysanych drzew błysnęło na chwilę światło przewodnika, a z szumem lasów, z poświstem wichrów, z ciemności tej nocy strasznej dobiegł jękliwy, przełzawiony trwogą śpiew: „Kto się w opiekę odda Panu swemu...”

I rwał się w wichurze, jak przesmutny jęk umierających...

— Chudziaki! Sieroty! — szepnął Jasiek, patrząc za nimi, i jakiś dziki żal ścisnął mu duszę obolałą.

Powrócił jednak do karczmy już ciemnej i oniebiałej, bo dziewczka zgasiła światło i poszła spać,

w alkierzu pomilkły śpiewy, tylko dziad nie spał, obliczał z babą jałmużnę.

— Chuda fara! Dwa złote i dwadzieścia pięć groszy całej parady... Hm!... niech im ta tego Pan Jezus nie pamięta, a wspomaga...

Gadał jeszcze, ale Jasiek już nie słyszał. Przytulił się do wygasłego komina, okrył się jak mógł w przeschniętą nieco kapotę i zapadł w kamienny sen.

Dobrze po północy obudziło go mocne szarpnięcie i światło skierowane prosto w oczy.

— Hej! Brat! Wstawaj! Kto ty taki?... Pasport u ciebie jest?

Oprzytomniał natychmiast; dwóch strażników stało przed nim...

— Pasport u ciebie jest? — zapytał po raz drugi strażnik, potrząsając nim jak snopem.

Ale za odpowiedź Jasiek zerwał się na równe nogi i trzasnął go pięścią między oczy, aż strażnik puścił latarnię i zwałił się wtył, a Jasiek runął w drzwi i wybiegł... Pognał za nim drugi strażnik i nie mogąc już chwycić, strzelił.

Jasiek zachwiał się nieco... krzyknął i upadł w błoto, ale zerwał się natychmiast i zginął w mroczkach lasu.

II.

Jasiek uciekał jak oszalały, rozbijał się o drzewa, kaleczył o krzaki, padał, podnosił się i biegł

gnany strachem, bo mu się wydawało, że pogoń jest już, że czuje już ręce chwytające go za ramiona, że słyszy krótkie, urywane oddechy za sobą... więc dwoił siły i gnał jak wicher, aż śmiertelnie zmęczony upadł w jakieś krzaki i leżał długi czas nieprzytomny prawie...

Rozbudził go straszny ból, jaki nagle poczuł w boku, uniósł się nieco i oczami pełnymi strachu, oczami gonionego zwierzęcia rozglądał się w ciemnościach. Nie zobaczył nikogo i nie mógł się zorientować, gdzie się znajduje; dokoła chwiał się i szumiał ponury bór, podszyty gęstymi krzakami.

Przyczołgał się do jakiegoś drzewa i opadł na ziemię ze skowytym — bok zabolął go strasznie. Skulił się we dwoje i tak siedział, jęcząc przez zaciśnięte zęby. Ból się pastwił nad nim, od rany w boku rozchodził się koncentrycznie, promieniował i w każdy centr, w każdy nerw wbijał mu ostre, nieskończenie długie i strasznie piekące igły... Udarł garść mchu i zatykał sobie ranę, zatamowywał krew, która ciepłym strumieniem oblewała mu bok, czuł ją już w butach nawet.

A co chwila robiło mu się słabo, tak dziwnie, że siedział omdlały, nie wiedząc o tem, budził się jednak z tej drzemki śmiertelnej, patrzył przygasłym wzrokiem w noc i szeptał przez łyzy:

— Jezus! O Jezus Marja!... O Jezus!

A potem nie czuł już żadnego bólu, drętwiał zwolna, zamrażał go przenikliwy chłód i ten deszcz mżący nieustannie.

Las wciąż szemrał surowym, strasznym szep-tem mroku.

A noc wlokła się wolno... wolno... strasznie wolno...

Jasiek, wychowany w lasach, znał się z niemi dobrze i nie bał się ich dawniej, ale teraz, napół żywy, patrzył z przerażeniem na olbrzymie majaki drzew. Zwolna dusza napełniła mu się grozą, pełną zamętu nieopowiedzianego i cichości okropnej.

Lęk pełen rozpaczy ścisnął mu serce takim bólem, że umierał, siedział bez ruchu, bał się poruszyć powiekami, bał się zmienić kierunek spoj-żenia, bał się szepnąć to zbawcze imię: Jezus. Bo czuł strach i tajemnice dokoła, czuł, że ta ciem-nota straszna przenika przez niego, zalewa mu du-szę, niszczy ją... A ten bór ciągle coś mówił z so-bą... jęczał... czasem krzyczał żałośnie... pochylał się nad nim... patrzył jakby... prostował się groźnie... pochylał się znów niżej... niżej... tak nisko... że czuł jakiś lodowaty oddech na twarzy... czuł, że gałęzie ostre dębów, gałęzie podobne do szponów po-skręcanych wyciągają się ku niemu z ciemności... że szukają go... że go zaraz rozerwą pomiędzy siebie...

Wtedy ze strasznym, niemym krzykiem trwo-gi zapadał omdlenie. I rozpalony gorączką mózg snuł rozprężone, porwane obrazy przypomnień więzienia... Wlókł się więziennym korytarzem... Tak, to więzienie zpowrotem. Oglądał się i wi-

dział szeregi głów postrzyżonych, pochylonych nad warsztatami, które klekotały nieustannie.

— Jasiek! Jasiek! — Drgnął, któryś go wołał cicho, ale nie mógł poznać który, bo wszyscy, z obawy przed strażnikami, stojącymi przy drzwiach, trzymali głowy nisko. Nie, musiał się przeksłyszeć.

Zapatrzył się przez szerokie okno na czubki drzew... na nieobjęty obszar nieba... na dalekie, dalekie kontury wzgórz!... Drgnął znów... A to dzwon na obiad! Dzwon na kolację, dzwon na spoczynek!... Szczęk kajdan... Ostre twarze dozorców z błyszczącymi bagnetami... Drżał na ich widok... Komenda jakaś... nie dosłyszał...

Ach! A te noce, te straszne noce w ogromnej sali dawnego refektarza... te noce, w które przychodziła tęsknota i wysysała z niego wszystką krew, wszystkie siły, wszystkie łzy... te noce zimowe, mroźne i białe od księżyca, w które, nie mogąc spać, modlił się cicho do tych świętych twarzy, tak wyraźnych jeszcze na sklepieniach... Przerwał się logiczny ciąg marzeń. Czuł teraz, że ucieka z więzienia... to czterodniowe tułanie się po lasach, po nocach... karczma Przyłęcka... dziad... ludzie, idący do Brazylii... strażnicy... strzał...

Ocknął się z omdlenia. Bólu nie czuł, tylko było mu strasznie zimno, zawinął się w siebie, przyparł do drzewa i czekał tak świtu, a tęsknota wsadziła mu swój kolczasty łeb do wnętrzości i gryzła niemiłosiernie.

Do domu uciekał... do wsi swojej... do wolności...

To wszystko było tam... tam... za tym lasem, co jak zły obłąkał go i odgrodził—tam jest chałupa, matka, życie spokojne i ciche—tam ta ogromna szczęśliwość—którą zrozumiał dopiero za kratami więzienia.

— Tam! tam!...—krzyczała w nim tęsknota tak głośno, tak potężnie, że podniósł się, aby iść... Usiadł zpowrotem, bo nie wiedział, gdzie jest, zbłąkał się tą szaloną ucieczką, musiał czekać dnia.

A nie myślał nawet przez mgnięcie, że i z domu, od matki mogą go zabrać i wtrącić zpowrotem do więzienia. Wiedział tylko, że w tej wsi swojej jest jego szczęście i tam powracał, pomimo wszystkich przeszkód. Zdawało mu się, że jak się tam dostanie, wszystkie nędze i utrapienia skończą się na zawsze. Nie czuł się przecież winnym niczego. W więzieniu nie widział karzącego prawa, lecz tylko osobistą a potężną zemstę rządcy, którego trochę dziobnął widłami!

— Dokończę ja cię, ty frybro jangielska, dorychtuję cię, nie bój się!... — myślał nienawistnie, przypominając sobie prześladowcę.

I snuły mu się tysiączne pomysły zemsty, ale nikły co chwila, bo coraz częściej zapadał w drzemkę, bronił się jak mógł, aż wkońcu już przed świtaniem zasnął śmiertelnie.

Spał pomimo deszczu, który go przemacał do skóry i mimo chłodu surowego marcowej nocy;

wcisnął się między wystające korzenie dębu, przylulił głowę do olbrzymiego pnia i spał.

Las, jak zwykle przed świtaniem, przycichnął, pochylił się nad śpiącym i stał jakby na czujnej bardzo straży, osłaniając go sobą od deszczu.

Ciemności zwolna rzedyły, bladły... rozjaśniały się.

Po mrokach rozlewała się świtowa szarość.

Las, usypiając, budził ptaki i zwierzęta.

Stado wron wyrwało się cicho z pod konarów jodeł olbrzymich: kołowały chwilę wysoko i poszybowały na żer, do wiosek.

W lesie było jeszcze ciemno, od wschodu białało nieco, przecierał się świt, i na tem mętlem jeszcze, widmowem tle brzasku, kontury czubów drzew rysowały się jak profile gór; na dole pod drzewami leżał gęsty mrok.

Wiatr ustał zupełnie, drzewa stały cichą, skłębioną masą; opuszczały przemarznęte, przemoczone gałęzie, pochylały konary bezwładnie w jakimś znużeniu ogromnem, zapadały w głęboki sen... prze-rażający majestat usypiającej potęgi rozlewał się dokoła...

Czasami tylko gałęź jakaś drgała przez sen, otrząsała się z deszczu, podnosiła się ku świtom i zapadała w ciche omdlenie...

Czasem tylko pień jakiś olbrzymi, jakby kurczył się w sobie od zimna, drgnał niepochwytanie, rozprostował gałęzie, przechylił się koroną ku da-

lekiemu jeszcze słońcu — i pogrążał się w słodkie odroczenie.

Czasem tylko jakiś głos przejmujący, coś jakby westchnienie głębokie, jakby jęk śpiącego lasu, jakby krzyk majaczeń sennych — drgał wskroś i przepadał w coraz bielszym świetle...

Tylko niskie, chude, mizerne krze leszczyn, osik, brzózek i grabin, tulących się do pni olbrzymów śpiących, drżały ledwie dostrzegalnie, jakby z trwogą, tuliły się do siebie i szeptały cicho... drżąc...

Jedne jałowce stały nieruchomo i hardo; pokryte pancerzem twardych, zielonych igieł, po których spływał deszcz, nie cierpiały tyle. Ale gęste, długie pędy malin dzikich, poskręcane chaotycznie, czepiały się kolcami drzew, dały się na kamienie, oplatały mrowiska, jakby uciekały we wszystkie strony z rozpaczą, bo deszcz przenikał ich delikatne pokrycia i po cienkich ciałach spływał wielkimi kroplami, aż do korzeni, aż do wnętrzości...

Sosny drgały nerwowo, a świerki stały, jakby bez czucia, okryte potężnym wachlarzem gałęzi.

Szare spojrzenia świtu coraz niżej, coraz głębiej opadały i wyplakanem, zielonawem światłem przenikały wskroś lasów.

Las zadrgał pod tem dotknięciem, ale spał jeszcze.

Ciżba przeogromna kolumn, niby w pra-gotyckiej świątyni, zaczynała wyłaniać się ze zmroków,

majaczyła tłumnie dokoła, a przez konary olbrzymów, niby przez gotyckie okna zasnutę pajęczyną, przedzierały się brzaski dnia coraz jaśniejsze i różowsze; pełzały po szarych kolumnach drzew, migotały w kroplach deszczu i osuwały się na ziemię, na mchy zrudziałe, na liście zeszloroczne, na krze drżące i ledwie dostrzegalną jasnością wydobywały nawierzch twarz Jaśka, który spał, przyciśnięty do korzeni dębu.

Trzask rozległ się w ciszy i po chwili z gęstwiny krzaków wynurzyły się ogromne korpusy jeleni; szły ostrożnie, z wyciągniętymi łbami, przystając co chwila i węsząc na wszystkie strony. Poczuli Jaśka, zbiły się w kupę, krótki bek się rozległ, stanęły nieruchomo i obwąchiwały śpiącego... odskoczyły nagle, bo Jasiek coś mówił przez sen, położyły na grzbietach rogi i pomknęły w las.

I zwolna budziło się życie w głębiach leśnych; sroki klóciły się zapamiętałe na modrzewiach, wisiały przyczepione do giętkich gałązek, bujały się z niemi i tak wciąż a nieustannie krzyczały, że las cały rozbrzmiewał, a przebudzony zając wyłaził z pod krzaków, stawał słupka, obcierał oczy łapkami i kicał w głąb z całych sił; to lis pomykał chyłkiem, kitę spuścił, nos wystawił, wietrząc na wszystkie strony, i migał jak cień złowrogi i straszył, bo ptaki z krzykiem uciekały na drzewa; to znów wiewiórka tańczyła zapamiętałe po szczytach, po gałęziach, po sękach—była wszędzie i nie była nigdzie, tylko jej delikatny szaro-rudy korpus

migotał jak błyskawica wśród drzew, a wysoko, nad lasami ciągnęła ogromna procesja kawek, słychać było łomot skrzydeł i krótkie przerywane krakania; to sarny szły gromadą do źródła, który szemrał pomiędzy kamieniami; przemykały się tak cicho wśród drzew, tak delikatnie stapały, że najmniejszy szelest nie zakłócał ciszy śpiącego lasu, chwiała się tylko gałązki leszczyn, pod którymi się przesuwały.

Bo las spał jeszcze. Słońce już było na widnokręgu i jego czerwone, zimne promienie ślizgały się po wierzchołkach i rozpryskiwały po szarych pniach i przesubtelnych zaledwie przeczutych dźwiękami zadzwoniły pod sklepieniami lasów.

Już był dobry dzień, bo już słońce trochę z góry zaglądało do lasu, kiedy Jasiek się obudził. Zerwał się na równe nogi, ale się zatoczył i upadł zpowrotem. Nie mógł złapać tchu, tak strasznie kłuło go w piersiach, nie mógł się ruszać, tak bolały go wszystkie kości, tak się czuł chorym, rozbitym i bezsilnym. Próbował czołgać się na czworakach, nie mógł, nie miał sił.

— O Jezu, o Jezu! — szepnął rozpaczliwie.

Łzy mu zalały duszę, łzy mu zalały oczy i jak groch sypały się na szarą, wynędzniałą twarz. Trząsał się cały w tej męce niemocy i opuszczenia.

— Już mi zamrzeć przyjdzie! Już mi tu zamrzeć przyjdzie!... — szeptał z jękiem i taki strach śmierci go przejął, taki lęk i taka rozpaczliwa, okropna tęsknota do ludzi, do swoich, do życia,

że wydobył wszystkie siły i poszedł. Prędko się zorjentował, gdzie jest i w którą stronę iść, i chociaż przysiadł co chwila, chociaż czepiał się pni, chociaż padał z niemocy i rozbijał obolałe ciało, podnosił się i włókł dalej.

— Aby ino tutaj nie zamrzeć, aby nie zamrzeć! — szeptał.

A potem, czując, że to klucie się zmniejszyło, bo bok nie bolał go zupełnie, tak był zdrętwiały z zimna, przyspieszył kroku; zdjął czapkę i na głos cały, spieczonemi ustami i sercem pełnem łez, bólu i bezbrzeżnego oddania, pacierz mówił, żebrał zmiłowania...

Jeszcze przed południem wyszedł na krańce lasów, nad pola, które ogromną kolistą doliną rozwinęły się wśród lasami pokrytych wzgórz.

— Przyłęk! Jezus Marja! Przyłęk! Jezus! — wykrzykiwał w uniesieniu. Przykucnął pod drzewem i ogarniał ten Przyłęk rozpalonem spojrzeniem.

— Laboga! Moja wieś! Przyłęk! Przyłęk! — powtarzał tysiąc razy, upajał się tym dźwiękiem, upajał się widokiem, trząsł się, krzyczał jakieś niezrozumiałe słowa, wyciągał ręce do chałup stojących długim rzędem na środku doliny, żarł oczami te szeregi topoli, z pośród których wychylały się szczyty słomianych dachów, i te dymy, co się wlekły nad domami, i te drogi błotniste, i te łąki, co leżały z drugiej strony wsi. Obiegał krwawem przemęczonem, a radosnem, jak to niebo poranko-

we, spojrzeniem, pełnem słońca i szczęścia, puste, poczerniałe, przemiękłe pola; śniegi leżały po bródach, wody lśniły po rowach i wygonach, jak wypolerowane stalowe wstęgi: stare, przysiadłe grubsze czerniały po miedzach, jak zmęczone ptaki. A tam wyżej, na wzgórzu, tuż za wsią błyszcząły w słońcu złote krzyże kościoła, majaczyły podarte mury klasztoru, a tam zboku klasztoru, niżej, nad rzeką, co przepływała koło jego chałupy, rozciągał się park pański i okna dworu błyszcząły jak tarcze polerowane, błyszcząły i stawy w parku, błyszcząły i wody rzeki, lśniły się w ostrem, wesołym świetle słońca, które wisiało na bladym niebie, tuż nad wsią...

— O Jezul! O Jezul! I na mszę dam, ochfiaruję Ci się do Częstochowy! O Marjo, Matuchno najdroższa!

Szeptał, przejęty szczęściem nieopowiedzianem i żalnością. I już nic nie pamiętał: ani więzienia, ani kary, ani ucieczki, ani rany, ani przeszłych cierpień, bo miał wieś swoją przed oczami, a w duszy tylko radość szaloną i taką dobroć, tyle łez roztkliwienia, tyle upojenia, że tylko gorącymi ustami i sercem dziękował Bogu, modlił się.

Ale mimo to bał się w dzień przechodzić przez wieś, albo i okrażać ją koło klasztoru, aby się dostać do matki. Musiał poczekać do wieczora, cofnął się do lasu, na łąki leśne, gdzie stały wielkie stogi siana, wkopał się w nie głęboko i tam się doczekał.

Wypogodziło się zupełnie na zachód, brał lekki przymrozek, mgły zimne, szare, rzadkie obsiadały pola, a niebo po zachodzie pokryło się purpurową łuską i jakby zatokami pełnymi krwi, błoto szybko tężało i pod nogami uginało się, jak pasy ziemienne. Ostry zapach mrozu mieszał się z surowym zapachem liści dębowych, gnijących w lesie, a czasem z zapachem dymów, ciągnących z mgłami.

Jasiek szedł ku wsi, naprzelaj, przez pola.

Przystawał co chwila, przysiadał na miedzach, przyczał się pod drzewami i szedł coraz wolniej, przyglądając się każdemu zagonowi.

— Wojtkowa! — szeptał, nachylając się nad ziemią i dotykał jej palcami.

Nic już nie widział, prócz tych pól, tych długich zagonów czarno-zielonych ozimin, popstrzonych gdzie niegdzie brózdami pełnymi śniegów.

Krwawe zorze zachodu przygasały, ale jeszcze paliły się zamatowane w kałużach wody; ścierniska głucho, przemiękłe, wytarte leżały jak łachmany; podorówki jesienne sterczały skibami, pokrywającymi się srebrnym szronem przymrozku; półka koniczyn gdzie niegdzie podobne były do starych, zielonych, przegniłych chust kobiecych.

Ale Jasiek witał to wszystko uniesieniem, skowitem radości.

Był tak samo wyczerpany, jak te pola smutne, tak samo odarty, tak samo nędzny, tak samo smagany przez deszcze, a czuł się tysiąc razy bezbronijszym, więc z jakąś dziką miłością przypadał do

ziemi, dotykał jej, jakby biorąc od niej siłę, mocy, wytrwania... jakby się jej oddając w niewolę... Że mroczniej było, więc coraz niżej pochylał się nad zagonami.

— Michałowe! pszenica, ciel—mruknął zdumiony, rozpoznając żdźbła.

Mrok zapadał prędko, zorze zbladły zupełnie i zsiniały, niebo pokrywało się już rosą gwiazd, powietrze było czyste, mgły zniknęły, bo mróz brał dobry — tylko lasy w tym czystym powietrzu wydawały się bliżej, otaczały całą dolinę czarną, wysoką ramą.

Wieś była już o parę stajań. Jasiiek szedł teraz przez kapuśniska, poprzerzynane głębokimi brózdami, pełnymi śniegów, przez bagniste łączki, zalane wodą, pod którą był jeszcze twardy lód.

Wieś już było słyhać, owce beczaly... to rozlegało się beczenie cieląt, konie gdzieś rżały, skrzyptały wierzeje. Poczuł w nozdrzach zapach dymów. Gdzie niedzie wśród lasów, zabudowań i opłotków zamigotało światelko... piosenka zadźwięczała w powietrzu... ale ją zagłuszył turkot wozu, który galopem jechał przez wieś. Gęsi na jakimś podwórzu gęgały zawzięcie. Ktoś krzyczał na całe gardło:

— Pietrek! Pietrek!...

Ten głos uderzył go jak obuchem, aż się zachwiał.

Szedł wzdłuż wsi, tyłami, dróżką, co biegła za stodołami.

Matka mieszkała w drugim końcu, za rzeką, pod wzgórzem, na którem stał klasztor.

— Poszycie dał nowel! — szepnął do siebie, przyglądając się jakiejś chałupie.

— Wawrzon się spalił! — Przystawał chwilę i ze współczuciem patrzył na czarny komin, sterzący wśród spalonego sadu.

— Cie! nową chałupę sołtys se postawił. Z cudzej krzywdy!—dodał po chwili, idąc dalej.

Im był bliżej domu, tem wolniej szedł i ciężej, bo i bok zaczął go boleć i ten gwar wsi go rozdrażniał i radość go tak przejmowała, że każda kosteczka trzęsała mu się nerwowo. Byłby się rzucił na ziemię i całował z uniesieniem, byłby klękał przed każdą chałupą, przed każdym sadem, przed każdą stodołą i byłby się modlił do każdego kamienia, do tych topól, co stały nad domami, do tych światel w oknach, do gwarów, do tej wsi całej, drogiej... kochanej... rodzonej... Ale już nie miał sił, to szczęście go wyczerpało do cna, włókł się sak umierający, nieprzytomny, a tylko resztkami ił, aby się ino dowlec do chaty... aby się ino dowlec do progu i choćby tam zaraz zamrzeć.

— O Jezus! O Marja! — szeptał i już nie wiedział jak, nie wiedział kiedy dowlókł się pod chałupę matki, nie mógł już drzwi otworzyć, tylko upadł przed progiem i wybuchnął strasznym płaczem...

.....

III.

Kiedy ranne wstają zorze —
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon Boże Wielki!

Jasiek uniósł głowę na pościeli i słuchał uważnie, głos szedł z niedaleka, jakby zza drzwi. Obejrzał się, ale nic nie dojrzał, tylko przez szybkę maleńką, wsadzoną w ścianę, przeciskał się świt i rozkładał słaby brzask. Opadł na łóżko; nie wiedział, gdzie jest, nic nie pamiętał.

Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon Boże Wielki!

— Matulu! — szepnął, słuchając tego powtórzenia i leżał tak cicho bez oddechu, z oczami wlepionymi w ciemność, zasłuchany, powtarzał nie głosem, lecz ruchem warg ten śpiew i łyzy wolno spływały mu po twarzy, łyzy dziwnej błogości... Nie słyszał nawet, kiedy śpiew się skończył, ani, że drzwi skrzypnęły.

— Lepiej ci, synu, co? — zaszemrał jakiś głos nad nim.

— Matulu! Matulu! — wyszeptał, chwycił rękę, głaszczącą go po twarzy i trwał tak w tej niemoicy, pełnej łez szczęścia.

Stara gładziła tylko z wielką miłością jego włosy spocone i twarz:

— Cichoj, synu... cichoj, robaku... cichoj... — Nie mogła mówić więcej ze wzruszenia i skoro tylko Jasiek zasnął, okryła go troskliwie i powróciła do izby. Wyrzała przez okno, wyszła przed dom popatrzeć na ciemną jeszcze drogę i powróciła, siadła na stołeczku przed ogniem i raz wraz dorzuciła na komin suchego chróstu. Na trzonie, obstawionym garnkami, buzował się wielki ogień i rzucał złocisty blask na całą izbę, na wybielone czysto ściany, na których czerniały rzędy obrazów świętych i na suchy, czarny szkielek warsztatu tkackiego, stojącego pod oknem od wschodu i obmotanego nićmi, niby pajęczyną.

Tekla, komornica Winciorkowej, siedziała na ziemi przed kominem i skrobała kartofle, mrużąc półgłosem pacierz, a łaciasty duży pies leżał na środku izby i przez sen warczał na tłustego prosiaka, który łaził po wszystkich kątach i co chwila wsadzał krótki ryj to w garnki, stojące na ziemi pod piecem, to porywał Tekli kartofle z koszyka, to pokwikiwał i drażnił się z psem.

— Cicho, gadziny, o! — wykrzykiwała raz wraz Tekla.

A poza tem cicho było zupełnie w całej chałupie. Ogień trzaskał wesoło i głośno perkotała gotująca się w garnku woda.

— Kury pieją, niechybnie będzie odmiana! — mruknęła Tekla.

Jakoż istotnie koguty piałły jeden po drugim, na całej wsi.

Winciorkowa nie odezwała się, bo szła zajrzeć do alkierza, ale że jakieś trepy zadudniały na stwardniałem błocie przed chałupą, usiadła zpowrotem. Z trzaskiem, w obłokach pary, wbiegła smagła, młoda dziewczyna, okryta na głowę w zapaskę; pochwaliła Boga i przygrzewała ręce przy ogniu.

— Winciorkowo, a to pożyczcie namo bochenek chleba. Jutro pieczemy, to wam odniosę. Chłopaki jadą z drzewem do tartaku, a tu już ani skibki niema — gadała prędko.

— Które chłopaki jadą? — zapytała Tekla.

— A ktoby! Walek i Michał!

— Ociec ostają?

— A juści, chciałoby mu się!... Pedają, co muszą iść do kancelarji... ale ino tak cyganią, bo im się chce pod pierzyną wylegiwać...

Przysiadła na trzonie komina, opuściła zapaskę na plecy i pytlowała:

— Wiecie?...

— Niby?...

— Martyna pobiła się z Grzelową...

— Jezus mój kochany! Pobiły się! Martyna z Grzelową! — wykrzykiwała Tekla.

— A juści, zaraz na odwieczeru. Martyna pedziała, co Grzelowa oddajęła jej krowy. A Grzelowa pedziała: samaś złodziej i świnią. A Martyna ją trzasła przęślicą bez łeb, a Grzelowa chyciła za kijankę, a Martyna ją za kudły!... Zbiły się jak nieboskie stworzenia, jaże je chłopcy musiały roz-

dzierać... Pójdą do sądu i pedziały, co mnie stawiają na świadka.

— Trza ci sprawiedliwie świadczyć przed sądem — odezwała się Winciorkowa.

— Przecie, co krzywda, to krzywda. Ano Martyna ma na łbie guz, kiej bułka, a Grzelowa ma pysk rozcięty i ślipie podbite. Sprawiedliwie będę świadcowała.

— ...Przęślicą, a Grzelowa ją kijanką! Jezus mój słodki! Pedaj, dzieucho, jak to było?...

— Dzieciak wam ano krzyczy! — zwróciła Tekli uwagę dziewczyna.

— Będzie mu na zdrowie, niech se ta popiuka!...

Przyciszyło się po wyjściu dziewczyny i płacz dziecka rozległ się wyraźniej, płynął on z drugiej strony chałupy, ale Tekla nie zwracała na to uwagi, płókała kartofle energicznie i namiętnie wykrzykiwała, prostując co chwila długą, chudą postać:

— Chleba im zapowietrzonym potrzeba! Bidadki! aże pożyczają!... Gospodarze parszywe, ścierwy... A jakby biednemu było potrza, to może zdychać pode płotem — nikt mu kapki wody nie poda! Żebyśta skapiały wszystkie, jak te psy!... Chleb ich rozsadza, to się tłuką kijankami i przęślicami. Da wam Pan Jezus jeszcze radę, da...

— Pleciecie trzy po trzy, ot co! — szepnęła Winciorkowa.

— A juścił ja pletę! A bo to mój nie mógł teraz spać pod pierzyną, abo i jechać z drzewem,

zarobić parę złotych, nie mógł to, co? Wszystkie se siedzą po chałupach, a mój to co? gdzie?

— Siedziałby i on, a poco dworskie konie wydał złodziejom...

— Wydał przecie, że wydał! Abom to mało na niego dunderował ale co miał zrobić biedny sierota?... Gospodarski syn, powinien był siedzieć na groncie, na półwłóczku, co najmniej... a służyć musiał. Skrzywdziły go te piekielniki! A kto go namówił do złego? Braciszki zapowietrzzone chciały się go pozbyć, aby procesu nie wygrał... A teraz wszystkie psy szczekają: Tomek złodziej... złodziej! A ścierwy! a psy! wołała namiętnie, z wielkiej żalości aż ryknęła płaczem.

Nie mówiły już, dziecko płakało coraz ciszej.

Za oknami po grudzie dudniło kilka wozów i ludzkie głosy brzmiały na mrozie.

— Powiedają we wsi, że za wodą siedzą dwie złodziejki! Ale niech im tego Pan Jezus nie pamięta — szepnęła łzawo Winciorkowa.

Tekla, która wyszła na chwilę, powróciła z dzieckiem, usiadła przy kominie, wsadziła mu w usta chudą, obwiśniętą pierś i rzekła:

— Po połowie jest ino sprawiedliwo... bo przecie wasz Jasiek nie kradł...

— A na trzy roki wsadziły go do kreminalu... — szepnęła cicho.

— Bo sprawiedliwości na świecie niema, nie było i nie będzie!

— Przyjdzie Pan Jezus, przyjdzie, a uczyni wszystkim sprawiedliwo...

— Hale! czekaj tatka latka, jak kobyłkę wilcy zjedzą...

— Nie gadajcie tak... to grzech... Pana Jezusowa sprawiedliwość, to nie ludzka...

Siadły do śniadania w milczeniu, ogień przysgasł niepodsycany, bo już świt rozsinił szyby i wlewał się do izby różowym brzaskiem.

A potem Winciorkowa zabrała się do roboty i wolno, automatycznie tkala na warsztacie jaskrawy welniak.

Słońce podniosło czerwoną głowę z za lasów i pokryło oszroniałą ziemię i drzewa takimi blaskami skrzeń, że oczy bolały patrzeć.

Winciorkowa pochyliła głowę, przymrużała oczy od światła, ale nie przestawała robić; różowy blask poranku pokrył jej chudą twarz, pełną śladów cierpień; siwe kosmyki włosów wymykały się z pod czerwonej chustki, którą miała nad złotem pomarszczonem czołem. Wpadnięte, sinawe usta poruszały się nerwowo, w takt każdego ruchu ręki, pociągającej za płoczę. Czółenko, wciąż zmieniane, bo tkala różnemi kolorami, ze świstem przewijało się wskroś gąszczu szarych, lnianych nici wątku. Pochylała się automatycznie, warsztat sucho klekotał, pracowała zawzięcie, czasami tylko przystawała na chwilę, opierała głowę na ramię warsztatu i nadsłuchiwała odgłosów z alkierza lub medytowała gorzko.

— Miły Jezu! Panienko Przenajświętsza! Trzydzieści roków było tak samo! tak samo! — przypominała sobie z gorzkością nieopowiedzianą i choć jej ręce zajęte były robotą, oczyma zaglądała w przeszłość dawną, tak bolesną, że dusza się jej kurczyła i oczy zachodziły mgłą łez. — Trzydzieści roków temu chłop jej z młodszym dziedzicem poszedł w las!... Poszedł, bo strzelec był dobry jako i Jasiek... Zatrzęsła się na to wspomnienie wyjścia, a te przypomnienia niepokoju, szukania go po lasach... trwóg nieopowiedzianych... tak żywo wstały w jej duszy, że oparła głowę o płochę i zapatrzyła się bezmyślnie przez okno; oczy jej leciały od wzgórz pokrytych lasami, po runiach osrebrzonych szronem zbóż, po zamarzniętych kałużach, po tym całym świecie różowym od słońca, jasnym i cichym... I tak dobrze pamiętała przeszłość, tak pamiętała... Drgnęła nagle, trzask jakichś wystrzałów zbudził się w jej duszy! Tak samo było to na wiosnę, tak samo roztopy we dnie, a przymrozki w nocy. W taki sam poranek przynieśli go jej prawie nieżywego... Pamięta jeszcze te pokrzwawione jego szmaty!... W tym samym alkierzu chowała go i broniła przed śmiercią... i obroniła... I naco! O Jezu, o Jezu mój słodki!... łzy pociekły po jej twarzy... Pognali go w tyły świat, że go już nigdy nie widziała... I zmarł potem i pochowali go — pewnie nie na poświęconej ziemi!... Taki ból ją zaszarpał, że splotła ręce i zapłakane oczy podniosła do świętych obrazów,

i modliła się gorąco, błagalnie... ale uczucia i świadomość tak się jej splątały, że zaczęła modlić się za męża, a modliła się o zdrowie dla syna... Poszła potem do komory, zajrzeć do niego.

Na tapczanie, okrytym poduszkami i pierzyną, leżał Jasiak.

Przez maleńką szybkę padało nieco światła do wnętrza i mrocznym blaskiem pokrywało twarz chorego. A Jasiak był śmiertelnie chory. Ucieczka, rana, przeziębienie, strach, wszystko to zważyło go z nóg zupełnie, że ledwie zipał. Matka nie traciła nadziei. Leczyła go jak mogła i umiała, broniła go od śmierci miłością i rozpaczą, a że przytem to leczenie i pobyt jego trzeba było ukrywać, więc się zacięła w sobie, wzmagała w siły, ale broniła; walczyła z chorobą, ze wsią, tak zwykle ciekawą, ze strachem, wiszącym wciąż nad nimi... Wzięli już jej męża, i tyle dobra, i tyle łez, że tego jedynaka kochanego nie odda... choćby własnym życiem zapłacić przyszło.. nie odda...

— Jasiak! synu! — szeptała cicho, pochylając się nad nim.

Jasiak otworzył nieprzytomne oczy, coś jak uśmiech pełen słodczy przemknął się po spalonych gorączką ustach i znów zapadł w senność.

Poobtykała go pierzyną, ułożyła mu wygodniej nieprzytomną głowę i zasłoniwszy szybkę, ażeby go światło nie drażniło, powróciła do roboty.

Ale nie mogła robić, drżały jej ręce i psuło się jej wszystko, to znów brakowało kolorowej

welny w członkach, więc zaczęła chodzić koło gospodarstwa i obrządzać. Niewiele tego było: sześć morgów pola, stodołka, obórka, chlewik sklecony z desek, dwie krowy, maciora z prosiętami wczesnemi, kilka gęsi, które się już nieść zaczynały, kilkanaście kur i kaczek — to całe bogactwo. Ale wszędzie panował wzorowy porządek, znać było pracę i starania ciągle.

Winciorkowa właśnie karmiła gęsi przed progiem, gdy na mostku zadudniały kroki, podniosła oczy i przez nagie drzewa rosnące przed domem zobaczyła kobietę, prędko idącą ku niej.

— Winciorkowo! — wołała tamta jeszcze zdaleka przez kamienny płot — Winciorkowo, a bieżcie-no duchem do Sułków, bo Magda leda chwila zlegnie... Już od świtu krzyczy ano, nie dadzą se rady bez was... — zawróciła i zniknęła w opłotkach wsi.

A stara, która była i trochę znająca się na chorobach, i babką, i wszystkim potrochu, wróciła śpiesznie do izby, zajrzała do Jaśka, postawiła przy nim na ławce napój jakiś, ogarnęła się i pobiegła na wieś. Nierada temu była, bo musiała chłopaka zostawić bez żadnej opieki, ale lecieć trza było. Któż ano pomoże kobiecie? Dochtory? A juści; sprzedaj krowę chociażby, a i to może mało... A potem... dowie się co na wsi... czy czasem już nie mówią czego o Jaśku... przepyta się coś nieco...

Przyspieszyła kroku i przesuwała się prędko wzdłuż kamiennych płotów, obrośniętych krzakami

ligustów, których gałęzie długie, niby baty zwieszały się do ziemi i miejscami leżały na ścieżce, wdeptane w skrzące błoto.

Wieś rozłożyła się po obu stronach drogi, pod strażą olbrzymich topoli, które stały wielką, pochyloną nieco na zachód aleją. Chałupy niskie, o słomianych i o zielonych strzechach, stały gęsto w głębi wąskich ogrodów, poprzedzielane wjazdami. Prawie wszystkie miały bramy wjazdowe na podwórza, na sposób staroświecki, t. j. z daszkami, pod którymi złożyły się święte obrazki. Kamienne płoty ciągnęły się wzdłuż rowów głębokich i otaczały szaremi ramami chałupy i ogrody. Szeroka droga pełna była stężałego błota i zmarzniętych kałuż wody; pod kamieniami, w sadach, po rowach leżały jeszcze kupy szerniałego śniegu, w którym grzebały kury. Gwar pogodnego, suchego dnia rozlegał się po wsi. Gromady dzieci bosy albo w trepach ślizgały się po rowach i kałużach, a gdzieś niegdzie, przed domami, to w opłotkach, stały kobiety i rozmawiały głośno. Z za domów, to z ogrodów dochodził odgłos rąbania, obróbki drzewa. Tracze w kilku miejscach kiwali się wśród nagich drzew sadów. Wóz czasem zaturkotał, albo od pańskich zabudowań, zdaleka doszedł odgłos młocarni, krowy ryczały po oborach, jakby czując zbliżającą się wiosnę, a gęsi gromadami uciekały z ogrodzeń i gęgając, ciągnęły ku polom. Dzień był prześliczny, słońce świeciło jasno i ciepło, więc i ludzie wychylali się z chałup i grzali pod ścianami.

Winciorkowa przyśpieszyła kroku, witano ją wszędzie życzliwie, ale z pewną rezerwą, bo się jej nieco obawiano, że to, jak mówiono, znająca była: czy która zległa, czy jak się komu kołtun zwił, czy nawet wedle chorego bydłęcia, albo niech się dziecko posunęło, abo kiej kto był pogryziony przez zepsutego psa — dochtorka była rzetelna. A mówili po cichu, że miała złe oczy, bo jak na chłopca Jędrkowego spojrzęła za te gruszki, co jej oberwał, to bez całą zimę go ciągiem łamało po kościach; że mleko umiała odmawiać, że... ale tego dość było, dość. Ale że z księdzem była w zgodzie i kościelne szmatki pieręła, że do bractwa należała, a jak się komu pomarło, to już nikt lepiej nie umiał od niej czy modłów, czy śpiewania, czy wypominków przy żalobnym chlebie — więc nikt jej nie powiedział marnego słowa. Bo przytem i cicha kobieta była, spokojna, pracowita, pobożna. Rano przededniem, czy na odwieczrzezu, to zawdy słyhać było w jej chałupie pobożne śpiewania, a co już gruntu, to i najlepszy gospodarz nie obrabiał lepiej.

— Mądra kobieta — mawiali o niej starzy chłopci.

— Kiej mruk, a patrzy na ludzi, że i dziedziczka nie lepiej potrafi.

— A bo to ciągiem na plebanji siedzi, to się tak spanoszyła.

— Taka mądra, taka pani, a chłopak siedzi w kreminalu.

— Żebyś tak widłami rządę przejechał po ziebrach, siedziałbyś ty jeszcze głębiej.

Tak sobie nieraz naród mawiał o niej: wiedziała o tem i uśmiechała się pobłaźliwie.

— Na to kuźden ma swój rozum, ażeby po swojemu kalkulował — odpowiedziała raz Tekli, gdy jej ta donosiła, co mówią o niej.

Nic ją to zwykle nie obchodziło, ale teraz, przechodząc przez wieś, gdy posłyszała, że po jej przejściu szepcą, lub gdy ją doszły jakieś głosy z chałup lub drogi, zwalniała kroku i chciwie łąowała słowa, bo się jej wciąż zdawało, że mówią o Jaśku.

Ale nic nie usłyszała i weszła do chałupy Sułków.

W izbie było pełno starszych bab, a pod oknem siedział mąż — młody, tęgi chłop, i strugał bijak od cepów, ale robota mu wylatywała z rąk, bo z sąsiedniego alkierza rozlegał się nieludzki krzyk kobiety rodzącej; nie mógł usiedzieć na miejscu, co chwila podchodził do drzwi alkierza i chciał wejść do środka, ale że mu Winciorkowa nie dała, łąził z kąta w kąt izby, a że chłop był czujny wielce, więc ino kapotą raz po raz obcierał zroszone czoło i oczy. A baby, rozsiadłe przy kominie, gdzie się już gotował krupnik, pokpiwały z jego cierpienia i niepokoju.

— Nie bój się, Walek, Magdzie nic nie będzie. To ino pierwszy dzieciak, to jakby nowy garnek zbił, a potem się wezwyczai.

— Ja ano dziesięcioro miałam i jakby orzech zgryzł!

— Walek, trza ci ją było wyręczyć, kiejs taki miętki. Trzaci było nie zaczynać, to nie byłoby teraz krzyku!

— Hale! Wierzcie mu! Chłopskie litowanie, to tyła, coby pies napłakał.

— Cichojta. Tamta wydziera się do ostatka, a wy ino zęby szczerzycie.

— Do ciebie ano, kobiety teraz jakbyś nie miał, to cię która pod swoją pierzynę puści.

— Dosyć się on nawysypiał pod dziewuszy-nemi pierzynami, dosyć!

Naraz umilkli wszyscy, bo w alkierzu ucichło raptownie. Walek tam wbiegł, ale po chwili drzwi się otwarły narozcież i pokazała się w nich Winciorkowa, z czemś okręconem w szmaty.

— Podziękuj Panu Jezusowi, chłopaka masz, Walek.

A Walek był nieprzytomny z radości; wziął dziecko na ręce i pod oknem przyglądał mu się ze zdumieniem.

— Loboga, jaka to pokraka, a toto kiejs kociątko, abo co! — wołał i nie mógł się napatrzeć na tego człowieczka, który ledwie piskał, niby świeżo wyklute z jaja ptaszę.

— Musimy zaraz przepić — wołał, oddając Winciorkowej dziecko.

— Poczekajta, dziecko jest pierwszą osobą, trzeba ją uhonorować! — Wzięła kieliszek z wódką

i w trzech miejscach izby odlała z niego po parę kropli, wymawiając uroczyście:

— La pana Jezusa, la ciebie, la ojców twoich! — Przysunęła kieliszek do skurczonych ssa-wek dziecka, ale że się wnet zachłysnęło nieco i rozkrzyczało, odniosła go matce z resztką wódki.

A Walek wciąż latał do alkierza, całował żonę, przyglądał się chłopakowi i powracał do kum, aby z niemi przepijać dla uciechy. Przyniesli wnetki miodu, a że to był post wielki, to ino przegryzali chlebem, a serem, a staremi gomółkami. Dla chorej tylko, że to ksiądz dał dyspensę, gotowali kurę.

Raz wraz ktoś nowy przyszedł, że izba zapełniła się ludźmi i gwarem, aż Winciorkowa musiała przyciszać, bo chora usnęła.

Dobrze już było wszystkim, i serdecznie, i po bratersku, gdy wszedł sołtys.

— To bez urzędnika, jucho, dziecko chrzczisz, co? — zawołał od progu.

— Napijcie się zaraz do mnie, to zgonimy!

— Ho, ho! sołtys jest ścisły we wszystkim, przegoni i w kieliszkach.

— Cie! mówili, że Maćkowej chłop wybił wszystkie zęby, a una ma jeden...

— Ino me nie ruchaj! Widzisz go! — wrzasnęła spostonowana.

— Ktoby was tam ruchał, cheba kijaszkiem, a i to trza zdrowego.

Ale że Maćkowa miała już w głowie, dalejże do niego z pięściami:

— Widzisz tego! Będzie tu wydziwiał na gospodynię, obieżyświat jeden, żydowski parobek, że w kieliszki zadzwonili, to go już, juchę, macie...

— Urzędnik jezdem! Miarkuj się, kobietol! — zawołał z powagą, prostując się dumnie.

Ale to nie zaimponowało Maćkowej: powiedziała bardzo brzydkie słowo, co to ano sobie robi z takich urzędników, przepiła raz jeszcze do Win-ciorkowej, wzięła kawałek sera dla wnuczek i poszła.

Sołtys tylko splunął za nią i z wielką gorącością wziął się do wódki.

— Chłopaka masz, Walek, dobrze... Urzędnik jezdem, wiedzieć o tem powinienem... Beze mnie toby jego wcale nie było...

— A kiedy on już jest! — zauważyła jedna kobieta.

— Staraście, Marcinowo, a Pan Jezus nie zdążył wamo jeszcze dać rozumu. Jest pedacie — a gdzie? W kołysce, to jakby go wcale nie było, to tego chudziaczka całkiem niema, bo ino się tak nazywa, że jest. Urzędnik wam to mówi, miarkujcie ino... a zaraz wam to wyłożę: Czyj ten dąbek w boru? Kto jego rodził, w jaki tabeli on jest, pod jakim numerem zapisany, w jakiej książce stoi, wiele ma grontu, kiej był, czy kiedy ma stawać do wojska, jakiej religji, z krześcijanów on? co?

— No jakże, w głowie się wamo pomieszało, sołtysie, co to ma do dziecka.

— A ma, bo chłopak Walków teraz, to jak ten dąbek, co go se człowiek ino pomyśli, a jego nima, ale kiej go urzędnik zapisze w książki, kiej on będzie stojał w tabeli, kiej się go opisze, kiej się mentryki zrobi, kiej go wciągną w wykaz i poślą do urzędu, to dopiero wtenczas chłopak będzie rzetelnie. Urzędnik to wam mówi, miarkujta.

Gadał jeszcze długo, ale nie słuchano go, bo ktoś zaczął mówić o tych, którzy tydzień temu poszli do Brazylii.

— Gadają, co na samą zwiesnę całe wsie pójda...

— A wczoraj poszedł Jasiek Adamów.

— A z Woli trzech gospodarzy sprzedało grunt i pójda.

— Na zatracenie ano idą, pomarnuje się ino naród i tyła.

— A nieprawda, grontu tam dają, co kto weźmie i na zagospodarowanie też pieniędzy.

— Hale, ksiądz na ambonie inaczej mówili.

— Ksiądz se gada, co mu potrza, a jak ci urzędnik rzekł, to wierz! — zawołał wyniośle, przysiadł na skrzyni, rozpiął kozuch, że to mu już po krupniku ciepło się zrobiło, i dalejże pleść duby smalone o Brazylii, dalejże przedstawiać ją tak, że narodowi aż oczy wyłaziły z ukontentowania, aż ślina ciekła do tego dobra.

— Judasz, chce on tu kogo sprzedać — mruknęła Winciorkowa, ale że nikt jej nie słuchał, a przytem pilno było do syna, wysunęła się cichaczem z izby.

Zmierzch już gęsty był na świecie.

— Niech będzie pochwalony—powiedział ktoś w ciemności.

— A Nastka! Nastusia. Na wieki — odparła z pewnem zakłopotaniem.

Szły w milczeniu obok siebie, nie wiedząc, co mówić.

— Cóż tam u ciebie słyhać? — zagadnęła Winciorkowa.

— Moiście wy, a cóż? nic.

Znów milczenie.

— Zwieszny ino patrzeć. Pono na łęgach za klasztorem już chodziły bocki.

— Prawda, samam widziała i aż mi dziw, co tak rychło...

Stara nie miała do niej zawziętości, ale zawsze to przecież przez nią Jasiak uderzył widłami rządczę... nie miała zawziętości, tylko głęboki żal, a Nastka to dobrze czuła, więc i mówić nie śmiała, szła ze spuszczoną głową i raz wraz przysuwała się, by starej zajrzeć bliżej w oczy. Umyślnie przyleciała ze dworu i czekała na nią przed chałupą Sułków, bo ją trapiły złe sny, chciała się dowiedzieć co o Jaśku, a teraz ust otworzyć nie mogła, cosik ją ścisnęło za grdykę.

— Dziedzice wrócili?—zagadnęła znów stara.

— Wczoraj, ale pono niedługo pojedą zagranicę.

— Im ta jeno jeżdżenie w głowie a zabawa...

— Nie mają na to?

— Prawda, prawda...

Nastka wzięła na odwagę, bo cichym, przełzwionym głosem zapytała:

— Nic nie wiecie?

— A bo co? — burknęła stara ostro, bo ją strach nagły przejął.

— Bo to widzicie, bez trzy noce nie spałam, ażeby mi się ciągiem nie śnił...

— Nie turbuj się o niego. Przez ciebie on marnieje, przez ciebie! No, cicho... nie mówię przez złość. Juści że wiem, coś tego nie chciała, nie płacz — uspakajała ją, posłyszawszy w ciemności cichy płacz dziewczyny.

— A przyjdź kiedy do mnie... — rzuciła jej przed rozstaniem.

Nastka popatrzyła na chałupę i, płacząc, cicho zginęła na drodze, ciągnącej do dworu.

Stara czuła się poruszoną, w izbie nie było Tekli, tylko z drugiej strony dochodził ją monotony głos, jakim usypiała dziecko. Jasiek spał wciąż. Nie budził się nawet, gdy go jeszcze przyodziewała kożuchem, bo w alkierzu zimno było.

— Winciorkowo! — rozległ się głos w pierwszej izbie.

Ze strachem wypadła z alkierza.

— A to zabaczyłam powiedzieć, że pani każała, abyście jutro przyszli, bo będą porządki robili w pokojach — mówiła Nastka.

— Dobrze, przyjdę, dobrze! — szeptała z trwożą i tak patrzyła srogo na dziewczynę, że ta, cho-

ciaż miała ochotę posiedzieć, pochwaliła Boga i odeszła.

Ale Jasiak się obudził.

— Kto tu był, matko?

— I... dziewczucha Marcinowej...

— A juści, to była Nastka, Nastka!—powiedział mocno.

— Nie bajałbyś, coby tu Nastka robiła...

— Cyganicie, dobrze poznałem po głosie.

— Napij się ano tego likarstwa, to ci będzie lepiej.

Wypił i nawet poczuł pewną ulgę w piersiach. Stara przewinęła mu świeżą szmatką ranę i wysmarowała całe plecy jakąś maścią. Usiłował mówić.

— Cicho, synku, bo jeszcze kto usłyszy.

— A na wiarę z nim mieszka?

— Kto? co ci się w głowie troił

— Nastka z rządca... Mówił mi jeden w krenalale, mówił...

— Ludzie to zawdy, aby ino ocyganić...

— Już ja mu tam przeszkadzać nie będę... nie, ani tej suce słowa marnego nie powiem... nie... — szeptał z trudem, ale w oczach błysnęło mu co innego, straszna zawziętość i nienawiść.

— Leż cicho, leż... wykuruj się ino... Moje dzieciątko, mój synku najmilszy, jak będziesz zdrowy, to coś się zaradzi, a teraz nie bierz żadnej turbacji do głowy... Pacierz se mów do Przemienienia Pańskiego.

Do okna od drogi ktoś zaczął mocno stukać.

— A słowo ciałem się stało! — zawołała, wybiegając z alkierza.

— Winciorkowa! Przyjdźcie jutro do kancelarii, przyszedł jakiś papier o Jaśku! — krzyczał przez szyby stójka gminny.

Pomimo, że drzwi były przywarte do alkierza, Jasiek usłyszał — a gdy stara powróciła do niego, stał w koszuli i spiesźnie, gorączkowo, nieprzytomnie odziewał się.

— Nie pójdę do kreminału, zabijcie, matulu, a nie pójdę... — wołał w gorączce.

— Jasiek! Jasiek! — ryknęła z rozpaczą i rzuciła się na niego jak wilczyca, bronił się, ale prędko uległ jej sile. Ułożyła go na łóżku i długo musiała przy nim siedzieć, bo się zrywał, krzyczał, chciał uciekać... zdawało mu się, że go gonią.

— Nie dajcie mnie, matulu! nie dajcie mnie... — i cisnął się do matki, obejmował ją za szyję, a łzy palące ciekły mu strumieniem po twarzy, drżał cały... majaczył nieprzytomnie, aż dała mu jakiegoś leku, że wpadł w kamienny sen.

IV.

Jak jej ta długa noc zesła? Nic nie wiedziała prócz tego, że ją łamała nieopowiedziana męka. Świt już rozbielił mieszkanie, a ona wciąż siedziała skulona przed dawno wygasłym kominem. Co pewien czas podnosiła się automatycznie, patrzyła

przez okno i szła zajrzeć do chłopaka śpiącego i znów siadała. Łzy błyskały w jej siwych, przekrwawionych oczach, ale nie miały sił płynąć, więc zastęgały na rzęsach i powłóczyły źrenice, jakby szkłem matowem.

— Jezus mój! Jezus! — szeptała chwilami.

Nie opowiedzieć, co przeżyła w tę noc długą, ile trwóg było w jej duszy, ile bólów szarpało jej sercem, ile burz, buntów i rozpaczy trzęsło nią, jaki krzyk niemocy ją rozrywał! — nie opowiedzieć!

Czuła, że jest bez ratunku zgubiona.

Wzywali ją do kancelarji! Mieli jakiś papier o Jašku!

— Jezus! Jezus! — jęczała. — Już wiedza, że uciekł... szukają go... i wezmą! nie... nie... — wyła w niej matka. — Nie dam... to mój, to syn... to krew moja... to moje łzy... nie dam...

I znów spadała w głąb trwóg, słabości, rozpaczy, w stromą głąb niemocy i znów łzy szklily jej oczy krwawe...

Jak go wezmą, to już go nigdy nie zobaczy, nigdy...

O mój Jezus, o mój Jezus, czy to sprawiedliwie, czy to sprawiedliwie!

Jęczała bezsilnie, coraz mniej panując nad sobą.

I za co go ukarali? Że zgnął rządęcę widłami! a zaco zgnął? Prawy był... bo mu rządca Nastkę ciągał do stodoły. Bronił ino siebie... I za to na caluśkie trzy lata! A to tyła chłopcy sobie łbów na-

skubią, tyla sobie kulasów naprzetrącają i nic, nie do kreminalu... A Jaśka wsadziły. Gdzie jest sprawiedliwość! A tamtemu nic?... Żyje se jak pan, i broi jak broił, bo co która dziewucha chodzi na pańskie, to juści, że potem przynosi małe w zapasce... Obraza boska, a kary na to nijakiej... I kto mu mocny co zrobić?... Kogo się on boi?... Chciał, to i wsadził Jaśka... wsadził... ażebyście... ażebyście!... I taka straszna, nieubłagana, dzika nienawiść zawyła w jej duszy, że rozprężyła chude palce i darła zapamiętałe grubą zapaskę.

Wyrwała ją dopiero z tego zapamiętania Tekla. Jasiek wciąż leżał nieprzytomny.

Nie wiedziała już, co robić. Po doktora było daleko, a potem, zobaczyłby i powiedział... ludzieby zobaczyli, a zaraz gadki, a pytania... Nie, nie...

— A jeśli zamrze? — Długo ważyła w sobie to pytanie, które kamieniem spadło na jej biedne, zrozpaczone serce.

— A niech zamrze, to i ze mną zaraz będzie koniec, a nie pomogę go wydać, nie... A niechta zamrze!... — myślała ponuro.

Był już duży dzień, gdy się nieco przyobkleła lepiej, wzięła w chustkę mendel jajek i poszła do gminy.

Słońce świeciło wesoło i jakby z radością tarzowało się po polach i kałużach drogi, którą szła do kancelarji. Po rowach, pomiędzy kamieniami stokrotki z lubością rozchyłały różowe rzęsy do słońca; skowronek się gdzieś wyrwał z zimnych je-

szcze pół i jak dzwonek świergotał pod czystym błękitem nieba. Ostre a rzeźwe powietrze owiewało jej twarz zgorączkowaną.

Kancelarja była niezbyt daleko, bo tuż przy kościele, w olbrzymim zrujnowanym gmachu poklasztornym, stojącym na wzgórzu, pod którym ciągnęła się wieś długą linią ku lasom, stojącym dokoła.

W kancelarji nie było jeszcze pisarza, spał.

Stójka tylko kręcił się po kancelarji, zamiatał, a potem poszedł obrządzać świnie, których natarczywy kwik dochodził z głębi długich korytarzy, porozgradzanych drewnianymi ścianami.

Winciorkowa siadła przed kancelarją na olbrzymich kapitelach, które pozlatywały z frontonu klasztoru, służąc teraz za stołki, i czekała cierpliwie.

Wkrótce nadszedł i wójt, przywitała go i zaraz zaczęła:

— A to wedle tego papieru, co to jest o moim Jaśku, przysłał.

— Jest-ci ta coś niecoś, ale zaczekajcie, jaże pan pisarz wstanie.

— Nie wiecie, co w nim stoi?...—pytała.

— Mówił na dworze nie będę, a potem pisarz jest od tego, coby czytał, zaraz mu każę, to wam powie.

Ratował swoją powagę, bo nic nie wiedział o żadnym papierze.

— Wójcie, zanieście ze mną cebrzyk, bo sam nie uradzę, a świnie chcą chlać—proponował stójka.

— Widzisz go! A nieś sobie sam! — oburzył się wójt, ale spojrział w zasłonięte okna mieszkania pisarza, splunął i poniósł.

— Zawdy usłużyć po sąsiedzku jeden drugiemu powinien — powiedział powróciwszy, usiadł na kamieniach z powagą i częstował tabaką chłopów, których kilku przyszło za interesami.

— Wójcie! A to pan pisarz mówił, żebyście wóz nasmarowali i rychtowali konia — meldował stójka.

Wójt się opierał, bo widział, że chłopom gęby się już wykrzywiały ze śmiechu.

Ale wnet rozczochrana głowa ukazała się w lufciku i rozległ się głos.

— Wójt! sam tu! Naszykować wóz, jedziemy do Górek na śledztwo!

— Duchem będzie! Prawda... podwoda urzędowa rzecz, śledztwo tyż! prawda!...

— Wójcie, a macaliście dzisiaj kury pani pisarzowej? — zakpił któryś z chłopów.

— Stuliłbyś pysk, widzisz go!

— Dzieckoby też trza przewinać...

— A bo i ten porcelonowy garnek wynieść..

— Buty wyczyścić...

— Paniąkom nosy poobcierać, abo co...

Kpili chłopci, ale wójt nie słuchał, narychtował wóz, wytoczył go przed kancelaryę i poszedł po swojego konia, do pary z pisarzowym.

— Ogier, nie ogier? Sielny koń!

Zaczęli znów, widząc, jak wójt ciągnie za grzywę swego konia.

— Dobry koń, pocziwości koń. Dasz mu strzechę — zje; dasz żerdź, byle ino nie przeschnięta, też schrupie jaż miło; szmaty z płota ściągnie i zeżre jak kuniczynę. Świniakowi samemu zjeść nie da w korycie, tak ano lubi na spółkę. Sielny koń.

— Koń jak koń, ale urząd jest i parada, że jaż ha!

— Patrzta, jak to nogi stawia, niczem cielna krowa. Ogon to ma jucha jak z paździerzy konopnych, cie jak zadziera... patrzy se na gospodarza.

— A łeb to ma całkiem podobny do dworskiego pachciarza.

— Moderunek kiej u ślachcica! i tu śnureczek i tam postroneczek! portecku mu ino, wójcie, wdziejcie i do Warsiawy na pokaz.

— A ściągły jucha musi być kiej krowa!

I pokpiwali sobie dalej z wójta i z jego konia.

Winciorkowa czekała. Z zamkniętymi oczami, z głową opartą o ścianę siedziała nieruchoma, jakby skamieniała. Nic nie słyszała z rozmów, bo wciąż dźwięczały w niej wczorajsze słowa stójki:— Jest papier o Jaśku.

Co tam może być w tym papierze? Co jej powie pisarz? Czy oni już wiedzą? Te pytania, niby błyskawice bólu i trwogi, przerzynały wciąż jej mózg obolały.

Nie widziała, że słońce podnosiło się coraz wyżej i zalewało całą dolinę, i wieś, i lasy, stojące dokoła, złotawą pozągą. Mróz puszczał i po bródach, po rowach, po kałużach błyskały wody, dymy z chałup były prosto, niby słupy białawego błękitu, a we wsi, którą z tego wzniesienia widać było jak na dłoni, wypędzano bydło do wody. Nic nie widziała, nic nie słyszała, prócz tych głosów trwogi, jakie darły jej serce:

— Winciorkowa, do kancelarji! — zawołał stójka, a zobaczywszy jej węzełek, dodał: — Idźcie przez kuchnię.

Poszła wolno, machinalnie w stary zrujnowany korytarz klasztorny, w którym grzebały się kury i prosięta.

A w kuchni olbrzymiej, sklepionej, oświetlonej gotyckimi oknami, na środku stała pani pisarzowa, z papierosem w zębach, który zapalała co chwila.

Winciorkowa schyliła się na przywitanie.

— Co powiecie?

— A to... wedle tego papieru... ino mendel jajoków, bo jeszcze kury mało niesą...—szepnęła, rozwiązując chustkę i kładąc ją przy jej nogach.

— Świeże, co?

— Parę dni mają.

— U was prośba jest?—pytała, przeglądając równocześnie jajka pod słońce.

— A juści, juści... A to jakiś papier przyszedł o moim synu, tym, co to... siedzi... bo to pani wie... że...

— Idźcie do kancelarji... ja tam zaraz powiem mężowi.

— Bóg zapłać pani!—szepnęła i wyszła.

— Adam! powiedziec mężowi, że u Winciorkowej jest prośba! — krzyknęła przez drzwi i powróciła, zapaliła papierosa i przeglądała dalej jajka.

Winciorkowa weszła do kancelarji, pochwaliła Boga, a że jej nikt nie odpowiedział, stanęła cicho przy drzwiach i czekała. Pisarz ubierał się dopiero, co chwila ginął w sąsiedniej izbie i powracał z jakąś częścią garderoby, którą wolno naciągał, rozmawiając jednocześnie z chłopami.

Czekała z dobrą godzinę, bo chociaż pisarz się już ubrał, ale zaraz potem poszedł na śniadanie. W kancelarji pozostał tylko młody, piegowaty i rudy chłopak, który usiadł przed piecem i puszczzał w ogień bardzo dyskretnie dym z papierosa.

— Paniel -- odważyła się przemówić.

— Wam czego?

— A to pono przyszedł papier o moim synu, Jašku Winciorku.

— Aha, o tym złodzieju, co uciekł z więzienia!

— Mój syn nie złodziej! A tobie, ciarachu, wara gębę sobie nim wycierać!—krzyknęła wielkim głosem, bo ją ta nazwa przeszła jak nożem.

— Nie podnoś, kobieto, głosu, bo pójdziesz na osobność!—zauważył spokojnie chłopak, puszczając wielkie kłęby dymu.

Już nie rzekła ani słowa, siedziała pod oknem napół żywa z niecierpliwości, z tego denerwującego oczekiwania.

— Wy Anna Winciorkowa?

— Ja wielmożny panie... — powstała prędko, bo pisarz pytał.

— To wasz syn Jan Winciorek był skazany na trzy lata więzienia za pobój i usiłowanie zabicia, ha?

— Tak, juści tak, Jasiak mu jest na chrzestne imię, tak wsadziły go na trzy lata, ale to ino przez złość.

— Przysłali do mnie uwiadomienie, jako Jan Winciorek uciekł z więzienia tydzień temu.

— O Jezu! — jęknęła, zataczając się na ścianę.

— I jest poszukiwany. Jeżeliby się do was pokazał, to powinniście go zatrzymać, zawiadomić sołtysa i odstawić do kancelarji.

— Moje dziecko rodzone!

— Tu o tem nie stoi. Jest tylko, że uciekł taki to i taki, a kto uciekł, musi być złapany, a kto będzie złapany, pójdzie pod sąd i do więzienia. A kto jego będzie przechowywał, pomagał mu uciec, też karany będzie.

Skończył i wziął się do roboty.

A Winciorkowa, jakby gromem rażona, długo stała, nie mogąc zebrać sił do wyjścia.

— Pójdzie pod sąd i do więzienia!

— Pójdzie pod sąd
. i do więzienia
.

V.

Jeno płkanie, jeno żałość, jeno umęczenie duszne chodzi po świecie, a ty, człowieku, cierp, a ty robaku baruj się z niemi, a ty, sieroto, oganiaj się, a ty, nieszczęśniku, uciekaj, choćby za bory, choćby za morze, a ułapi cię za gardziel, gdziebyś się i nie schował.

O dolo! dolo! dolo!

A ludzie są, jak te wody: ani wiedzą skąd, ani wiedzą poco, ani wiedzą dokąd?

A ludzie są jak te chmurki, co je wiatер żenie to tu, to tam, po całym świecie... jak te listeczki, co je wiatер drzewom pokradł i wieje niemi na pola, na lasy i rzuca na zatracenie; jak ten dzień, co był wczoraj, a już go ani dzisiaj, ani nigdy niema.

I zmiłowania niema, i poratunku niema, i uciekania niema...

I gdzie uciekniesz przed dołą człowieku-sieroto, gdzie?

Chyba ułapisz się, biedoto, tych gwiazdów i dufające serce oddasz Panu Jezusowemu miłosierdziu!

O dolo! dolo! dolo!

Tak rozżalała się dusza Winciorkowej, sieroca, smutna dusza matki cierpiącej. A wiatr हुआ na dworze i targał poszyciem chałupy, rozchwiewał drzewami i smagał niemi ściany, pogwizdywał w kominie i niby Zły, cieszący się z nie-

szczęść ludzkich, chichotał, tańcował po drogach ciemnych, po tej nocy rozdeszczonej, smutnej, strasznej.

— O Jezul!—łkała Winciorkowa i wrzeciono wysuwało się z jej sztywniejących palców, a ze zmęczonych, wyplakanych oczów toczyły się łzy gorzkie po zapadłej, rozbolalej twarzy. Wyschnięta pierś podnosiła się w strasznem łkaniu, a niemoc, straszna niemoc przygniatała jej biedne ramiona do ziemi, do poddania się, do niewoli..

Tekla sama dzisiaj oprzątnęła gospodarstwo i ugotowawszy kolację, zabrała dziecko z płachty, wiszącej u sufitu, i poszła spać.

Ani spostrzegła tego stara, zajęta cała myślami i boleścią. Raz wraz zaglądała do chłopaka, który leżał w gorączce, a potem tylko nasłuchiwała wszystkich szmerów, wszystkich świstów, wszystkich głosów nocy... bo się jej strapionemu sercu wydawało co chwila, że już słyszy szcęk pałaszów, że już idą po niego...

Wtedy zrywała się, zasłaniając drzwi do alkierza, i takim strasznym, pełnym rozpaczy wzrokiem patrzyła, jakim tylko matka w obronie swego dziecka patrzeć może.

Ale nikt jeszcze nie szedł, to tylko noc szła i deptała świat wichrami.

Dobrze już przed północą zapukał ktoś delikatnie do drzwi i wsunęła się przemoczona, zziębnięta Nastka.

— Nie, siadać nie siądę, zaraz muszę wracać. Przyleciałam wam powiedzieć... Jezu, jakim się zatchnęła, że we dworze u państwa mówili... co Jasiak uciekł z więzienia...

— A ty go chcesz wydać, Judaszul — szepnęła stara.

— Jezus miłosierny! co wy powiadacie! Adyć zlitowania nie macie! Jabym Jaśka wydała, ja, co-bym każdą kosteczkę dała za niego!...

Płacz nagły powstrzymał jej mowę, zaciągnęła chustkę na oczy i uciekła, tylko z ciemności isłyhać było coraz słabiej odgłos jej trepów...

— Nacierp się i ty, najedz się bolenia, jak i ja, najedz! — zawołała za nią stara i zaczęła chodzić po izbie i szukać jakiego poratunku.

Ale poratunku nie widziała. Przyjdą, zobaczą go, złapią i pójdzie pod sąd i do więzienia! I już go nigdy nie zobaczy... nigdy!...

Głowa zaczęła się jej trząść z nagłego strachu, obtarła fartuchem nos i oczy i chodziła dalej, medytując.

Żeby chociaż wychorzał, toby mu pomogła uciec, sprzedałaby choćby ano i maciorę... choćby nawet i krowę, albo i dwie... i pomogła, poszłaby z nim nawet na kraj świata, gdzieby go nikt nie znał, nie więził, nie karał.

Ale gdzie?..

I dusza przed tem pytaniem struchlała jej z trwogi.

Prawda, a gdzie uciekać?

Przecież na całym świecie są sądy, są strażniki, są więzienia!

Chwyła się za głowę i przysiadła, tak ją przeraziło to odkrycie.

Prawda, są wszędzie... wszędzie... jak te żelaza na wilki... wszędzie...

Była przecież w Częstochowie, to i tam pokazywać musiała papiery; była na Kalwarji, za Krakowem, to i tam tak samo!

Obejrzała się dokoła bezradnie.

I jakby ujrzała wszędzie nieprzebyte mury, szeregi strażników, kancelarje, pisarzów i wyciągnięte do chwytania ręce!

— Labogał i nigdzie, i nikaj nie może człowiek biedny uciekać od tej strasznej mocy, którą teraz dopiero zobaczyła w całej grozie, uosobioną w strażniku i w więzieniu.

Biedactwo, nie rozumiała tego słowa: prawo, i myślała, że to to samo co—sprawiedliwość!

Nie czekała odpowiedzi na to pytanie, ale natomiast wypełzły z jam zmęczonego mózgu wspomnienia lat dawnych, wspomnienia męża, wspomnienia starych nędz i krzywd starych, które sinemi, wykrzywionemi męką ustami wołały z głębin czasu: nigdzie... nigdzie...

Zaskowyczała z bólu, jak pies kopnięty, przygięła się, okręciła się koło własnej duszy i w skamienieniu zgrozy nieopowiedzianej siedziała przed oknem, zapatrzona w dręczącą ciemność duszy własnej...

I dopiero z tego gorzkiego poczucia niemocy i opuszczenia, z tego poczucia stratowania przez los wstawał w niej zwolna bunt przeciw niesprawiedliwościom, srogi bunt duszy zrozpaczonej a silnej jeszcze.

— Jako? Jasiak ma być złapanym, sądzonym i oddanym do więzienia, chociaż już dwa roki odsiedział niesprawiedliwie, chociaż niewinowaty?!... A tyła zbójów chodzi wolno po świecie! Oj, choćby ten Jadam Brzostek, o którym wszyscy wiedzieli, że trzyma spółkę ze złodziejami, abo ten Michalak, o tem też wiedzą, że zabił człowieka. A oni chodzą wolno! Dlaczego tak jest? To nie jest sprawiedliwie, nie. Dlaczego tak jest?

I długo snuła te nieskończone „dlaczego“, aż wkońcu sen ją zmorzył, że ocknęła się dopiero o świtaniu.

Ale dzień nowy nie przyniósł rozwiązania, przeciwnie, cierpienia jej wzrosły i bunt jej prze-radzał się zwolna w nienawiść do świata i wszystkich ludzi wolnych.

Jaśkowi nic nie było lepiej, pomimo, że mu raz wraz stawiała bańki na plecach i bokach i aby upuścić mu nieco krwi, przecinała te wzdęte pęcherze dobrze wyostrzonym kozikiem.

A Tekla w południe, przyszedłszy na obiad z pańskiego, szepnęła:

— We dworze już wiedzą... na wsi gadają...

— I co? co?

— Hano co! Rządca powiedział do parobków, że kto Jaśka złapie i dostawi do kancelarji, to dostanie od niego dziesięć rubli i garniec gorzałki...

— A chłopcy?... — wyszeptała starucha.

— Chłopy, jak chłopcy! Moiściewy, atoc dziesięć rubli to karwas grosza! Moznaby sporą maciorkę za to kupić... — dodała jakby do siebie.

Winciorkowa pilnie badała jej twarz i widząc, z jakim pożądliwem zamyśleniem patrzy na jej prosiaki, zdecydowała się po prędkiej, ale i boleśnej walce na ofiarę.

— Tekla, dam wam tę maciorkę z łata na boku...

— Ja ta nie żaden Judasz! — oburzyła się bardzo szczerze, ale oczy jej błysnęły pożądlivością.

— I... nie miałam tego w głowie, inom sobie dawno kalkulowała, żeby wam dać...

— Niby tak sobie, przez pieniądze...

— A juści, pomagaliście mi tyla i w osnowie, i w przedzeniu, to wam się rzetelnie należy.

— Prawda, ale wy rzetelnie mi ją dajecie?...

— A naprawdę. Maciorka, to możecie się dochować z niej czego...

— I to już całkiem moja świnia, co? — pytała oczarowana.

— Przecie że wasza...

— Jezus Marja! Rodzonaby lepszą nie była — krzyknęła z radości i rzuciła się starą obłapiać za nogi i całować po rękach, a potem poleciała do

chlewa i przygnała ową maciorkę do izby swojej i tak chodziła koło niej, tak jej podtykała jeść, że chociaż dziecko ryczało w płachcie, uwieszanej przy suficie, nie słyszała, olśniona szczęściem posiadania własnej maciorki.

— Jezus! jakie to śliczności! Loboga, jakie to sprawne a żarte!—wykrzykiwała co chwila.

Winciorkowa, słuchając tego entuzjazmu, uśmiechała się dosyć żałośnie, bo juści, że za Jaśka oddałaby całe życie, ale zawdy... zawdy prosiak wart był z półszosta rubla, abo i siedem, bo na wiosnę świnie płacą...

— Ha, trudno! Z czyjego woza zsiadaj i na pół morza! — myślała, idąc zajrzeć do wczorajszej połoźnicy.

Umyślnie przystawała, sama zaczępiąta ludzi, gawędziła, aby się coś dowiedzieć, czy na wsi wiedzą, że Jasiek jest u niej. Ale chłopci nie dali się złapać, nikt się nie zdradził ani słowem jednym, ani spojrzeniem, że cośkolwiek wiedzą o Jaśku. Gdy wreszcie sama powiedziała o ucieczce jego z więzienia, robili tak szczerze zdziwioną minę, jakby ta wieść, o której już wieś cała mówiła, była im naprawdę nowiną.

— Gramatyki juchy, żaden pary z gęby nie puści!—szepnęła zawiedziona.

— Szmat! szmat! szmat!—jęczał jakiś głos na drodze.— Gospodynie nie macie czego? nie potrzebujecie czego? — zawołał do niej szmaciarz, niski,

chudy żyd, który człapał środkiem drogi obok starej bryczki, ciągnionej przez szkielet konia.

— Stańcie przed chałupą moją, ja tam zaraz przyjdę.

Poszła do położnicy, a żyd włókł się wolno, popychał brykę, wyładowaną w łąchmany, smagał konia i przed każdym domem jęczał:

— Szmat! szmat! szmat!

Kiedy niekiedy przystawał i zamieniał za garść łąchmanów szpilki, nici, igły, wstążki, gliniane kuraski do gwizdania, a czasem robił i grubsze operacje, na mendel jajek, na ćwiartkę kartofli lub na starą, wypierzoną kurę.

Gromada dzieci na pół nagich goniła go z wrzaskiem i krzykiem:

— Szmaciarz. Waciarz! Dam ci gros, daj mi kuros!

Ale żyd nie zwracał uwagi na krzyki, tylko energicznie oganiał się batem od psów, które zjadły docierały do jego długiej kapoty i napełniały wieś całą szczekaniem.

Krzyczał dalej, w przestankach bijąc konia, bo mu stawał co chwila, ale częściej jeszcze pchał wóz, podpierał go chudem ramieniem, aż mu zaczerwienione oczy nawierzch wyłaziły, świstał batem i wołał:

— Wio, wio! gniady! — Końce kapoty, gdy się pochylał przy popychaniu, wlokły się po błocie i tworzyły długą kolej, a czasem, zmęczony, przystawał, opierał się o wóz, zsuwał czapkę na tył

głowy, obcierał czoło i dyszał tak ciężko, aż mu się broda ruda trzęsła i oczy napełniały łzami.

Dobrze już pod wieczór dowlókł się do domu Winciorkowej, dał koniowi siana i z batem w garści przyszedł do izby, ale był tak zmęczony, że długo siedział przed kominem, nie mogąc słowa przemówić.

— Zmęczyliście się, co?

— Od rana już tak jadę... a że nic nie jadłem, to mi trochę słabo...

— Napijcie się mleka, to wam dam?

— Bóg zapłać, gospodyni, to ja zaraz przyniesę swój garnczek, to wy mnie w niego udoicie...

Udoiła mu w garnczek, przystawił do ognia, zagotował i wdrobiwszy suchą bułkę, nałożył czapkę i jadł tak łapczywie, że Winciorkowa przyniosła z alkierza trzy jajka i położyła przed nim.

— Zjedzcie i jajka, niech będą na zdrowie...

— Bóg zapłać! — wyszeptał z dziwną wdzięcznością.

Ugotował je sobie, ale zjadł jedno tylko, resztę nieznacznie schował do kieszeni, dla dzieci... A potem, jakby na podziękowanie za jej dobre serce, powiedział cicho:

— Mnie mówiły strażniki o waszym chłopaku, jego szukają!...

Winciorkowej ręce opadły od roboty, bezwiednie spojrzała na drzwi alkierza.

— Jego szukają! One mówiły, że przed tygodniem, to un był w nocy w karczmie Przyłęckiej, rozbił nos strażnikowi i uciekł!...

— Jezus, Marja! — krzyknęła, bo tego szczegółu nie wiedziała.

— Wy jego nie trzymajcie, jak on przyjdzie, bo jego złapią i no!... Ja to wiem, jak mój młodszy brat uciekł z wojska, to myśmy go chowali przez dwie niedziele, a potem to jego w nocy wzięli i my go już nie zobaczyli; aj, aj! co to była za godzina!...

Zachłysłnął się aż ze wzruszenia.

— Żeby on był pojechał sobie do Ameryki, toby jego nie wzięli!...

— Gdzie to? — zapytała prędko.

— Do Ameryki, to jest daleko, to jest za morzem, to jest może za dwa morzem... Tam dużo jest i Żydki, i Polaki, i Niemcy... Tam jest dobrze, tam żadnych strażników niema... Ja wiem, od nas z miasta jest tam felczera syn i on ojcu co rok przysyła pieniędzy...

— A czemu Mosiek tam nie wysłał brata? — spytała podejrzliwie.

— Czemu? Nie było pieniędzy. Żebym ja miał tyle pieniędzy, co kosztuje droga dla mnie, dla mojej żony, dla moich dzieci, to jabym i tu miał się dobrze.

— A siła pieniędzy potrzeba? — zapytała spokojnie, udając obojętność.

— Ja dobrze nie wiem... ale mnie mówił jeden żydek, co całe sto rubli sama droga! To wielki majątek, wielki geld!...

Zamilkli.

Żyd opasał się czerwoną chustką, za którą zatknął koniec kapoty, pozbierał pudełka, nadział czapkę i wychodząc, szepnął ciszej:

— Ja wam po przyjacielsku radzę... niech on zaraz ucieka do Ameryki... no, ostajcie z Bogiem.

— Jedźcie z Bogiem, Mošku.

— Wiecie, ten Herszlik, co un trochę szwarcuje ludzi zagranicę... wy z nim pomówcie, un teraz jest w domu...

— Do Jameryki za morza! Laboga! — myślała, zostawszy sama. — To pewnie tam, gdzie teraz naród ten wychodzi!

Parę dni chodziła z tą myślą, obracała ją na wszystkie strony, przeżuwała i nie mogła się zdecydować puścić chłopaka w taki świat.

— Pojadę z nim! a co jabym tu miała ostawać! Prawda! — Olśniła ją ta myśl i zaraz w niej się zbudziła ta niezmożona, chłopska ciekawość świata. Ale spoglądała przez okno na świat i ostygała, strach ją przenikał. — Odjechać chałupy, ziemi, kościoła?... Wszystko ostawić i już tego nigdy nie widzieć... Jezus, adybym zamarła chyba z tęsknościi! Nie kuś ty mnie, djable, nie kuś! — szeptała, ale mimo to robiło się jej w duszy coraz jaśniej. To pewność ocalenia Jaśka tak ją rozwiśniała.

— Do Jameryki! Prawda, że to i łoni sły tam ludzie i latoś idą... Juści, juści, jaże ksiądz na kazaniu mówił, żeby nie sły, bo idą na zatracenie.

— E, księżę gadanie a złodziejskie przysięganie... to jest ta para... o...

Ale rychło zapomniała o wszystkim, bo Jaśkowi coraz było gorzej. Rana nie chciała się goić i to rżenie w płucach nie ustawało. Robiła, co mogła i co umiała, ale wszystko nie pomagało. I okadzała go, i odczyniała, i wszystko jedno, co nic. Rozpacz ją ogarniała coraz boleśnieszka, bo Jasiek, w chwilach przytomności, coraz rzadszych, szeptał:

— Zamrę, matulu, zamrę!

— Wyzdrowiejesz, synku, wyzdrowiejesz, nie bój się. Pan Jezus i ta Matka Częstochowska ci pomogą i wyzdrowiejesz.

— Zamrę, matulu, ja to już czuję, matulu... już się ino ostatni dech tłucze po mnie, matulu... Przyjdzieć kostucha, przyjdzieć... — skarżył się słabym głosem i łzy strumieniem płynęły mu po twarzy...

— Sprowadźcie mi księdza, matulu... Człowiek jest grzeszny, to niech ta ksiądz wstawi się za mną przed Pana Jezusowym sądem...

Matka, chociaż jej serce wyło i pękało z bólu, uspokajała go zapewnieniami wyzdrowienia.

Nie wierzył już i nie chciał, bo czuł w sobie znużenie zamierania.

— Co mi tam już żyć... jakby me wzieny, to bym wnetki poszedł do kreminalu... Matulu, ja już nie mogę, nie ścierpię tam, nie ścierpię... bo jak

mę zamkną, to się powieszę, abo co złego sobie zrobię...

— O mój jedynaku, o moja sieroto biedna, o mój parobku kochany, ty nie odeńdziesz od matuli, nie ostawisz mnie biednej sieroty, nie ostawisz!..— jęczała, obejmując go sobą i płacząc krwawymi łzami rozpaczy...

— Kiej mi jest źle, matulu... kiej mi tak źle... tak źle... — skarżył się cicho, zapadając w półsen, pełen widzeń i majaczeń...

Przesiedziała przy nim noc całą z trwogą najwyższą, bo się jej wydawało co chwila, że już umiera, więc go chwyciła w ramiona, przyciskała do serca, ogrzewała własnem ciałem jego stygnące członki, szalała z rozpaczy, aż nad ranem padła na ziemię, rozkrzyżowała ręce i głosem, pełnym krzyków, skarg, żalów i próśb, pełnych krwi serdecznej, zebrała zmiłowania u Matki Najświętszej...

Na dworze była jeszcze noc ciemna, noc pełna deszczów brzęczących nieustannie po szybach, pełna zielonawych ciemności, które zalewały izbę smutkiem beznadziejnym i opuszczeniem, gdy Jasiak podniósł się na pościeli i wielkim głosem zawołał:

— Księdza! Księdza!... — i upadł bezwładnie na poduszki...

Winciorkowa ledwie się dnia doczekała, została Teklę przy chorym, wzięła z grzędy kurę pod chustkę i pobiegła na plebanję.

VI.

Kościół był poklasztorny, ogromny i wspinały, cały wewnątrz pokryty freskami, dziwnie tylko cichy i pusty. Pleśń czuć było wśród murów.

Ksiądz odprawiał cichą mszę przed bocznym ołtarzem, diad kościelny służył mu do mszy.

Wielkie drzwi były otwarte narozcież, wpływało niemi słońce, a czasem wpadały ze świergotem wróble i wieszały się na gzymsach lub ołtarzach.

Winciorkowa klęczała przed ołtarzem i zamodliła się głęboko.

Cicho było zupełnie; czasem tylko dzwonek zadźwięczał, czasem głos ministranta się rozległ, a czasem potężny, basowy głos księdza zabrzmiał jak krzyk, i znów była cisza i ledwie dosłyszalne szemranie modlitw, i szelest przewracanych kartek mszału, i dalekie, dalekie, głuche echa wsi drgały pod nawami.

Pod koniec mszy tylko ciężkie westchnienia Winciorkowej coraz częściej rwały tę ciszę głęboką i jak jęk huczały po kościele. A ona się modliła gorąco, kładła w tę modlitwę wszystko: wiarę całą, siły, nadzieję, życie całe; łzami oblewała zimną posadzkę, czołgała się do stóp krzyża, żebrała litości i zmiłowania.

Podczas ostatniego dzwonienia na Baranek Boży kura, leżąca obok niej dotychczas spokojnie,

rzuciła się gwałtownie i pomimo nóg związanych, tłukła się po posadzce i uciekała.

Złapała ją zaraz Winciorkowa i po skończeniu mszy poszła do zakrystji.

— Czekać! zaraz — burknął ostro ksiądz.

Stała wpatrzona z pokorą w księdza, wolno rozbiegającego się z szat kościelnych.

— Chodźcie za mną!

Przez puste, odrapane, porujnowane korytaryze wiódł ją do swego mieszkania; głuchy odgłos kroków po zzieleniałej, starej posadzce biegł za nim echem.

Chmary gołębi uciekały przez powybijane okna, do których zaglądały zielone gałęzie świerków.

Ksiądz pogwizdywał na ptaki, a Winciorkowa z nabożną tkliwością spoglądała na przegniłe, pozacierane oblicza świętych zakonników, malowane po ścianach, na resztki malowideł, widne między żebrami sklepień, i rozmyślała, co mu powie:

— Można powiedzieć... przecież ksiądz... powiem, jak na spowiedzi, to nie wyda... — I tak chciała już wypowiedzieć swoje udręczenia, że pochylała się, aby go ująć za łokieć i pocałować, ale ksiądz nie zauważył jej ruchu, szedł prędko i pogwizdywał, a za nim zaczęły podfruwawać gołębie i siadać mu na głowie i na ramionach.

— Loboga! A tam Jasiek zamiera! — rozjęczała się jej dusza.

— Co wam potrzeba? tylko prędko — zawołał, otwierając drzwi do mieszkania. Była to dawna

cela przeora, tak cała pokryta malowidłami, że wyglądała jak kaplica.

Ksiądz siadł do śniadania i słuchał.

Winciorkowa opowiadała bezładnie, przerywała, aby księdza objąć za nogi, to żeby go w łokieć pocałować, to żeby tchu złapać i nie stracić wątku opowiadania...

— ...Jak na spowiedzi mówię... święta prawda... ciągał ją ano do stodoły... na rozpustę... a przecież była z nim już po zmówinach... chłopak pedział: puść... a tamten go jeszcze lachą bez łeb... to i chwycił za widły... same już wlażyły... co miał robić...

Płacz nią zatrzęsł, aż się o drzwi oparła, a potem mówiła twardo, ze srogością: — Kobieta jestem, a zrobiłabym to samo... trzy roky więzienia... to ino przez złość... bo nie winien... postawił świadków, że go chłopak chciał zabić... jego była prawda na wierzchu... taki ciarach... taki pisarek... taki zbój i rozpustnik... to ino ciągała obraza boska... a chłopak je w kreminalé!... Jezus!... Jezus!... taki wstyd... taki wstyd... a przecie jego ociec nie był byle kto... znali go, że uczciwy człowiek, a dziaduś byli jaże we Francji... a teraz chłopak za zbója, za złodzieja uważany...

— Czego chcecie? — zapytał miękko.

— Jest u mnie, taki chory... umiera prawie... Nikto nie wie, że jest u mnie, ochraniam jak mogę. Ojciec duchowny, jak na spowiedzi mówię...

— Dobrze, dobrze. Nie bójcie się... — zamyslił się chwilę. — Zaraz tam przyjdę, idźcie naprzód,

nikt nie będzie wiedział o tem... No, marsz, a zabierzcie sobie tę kurę... głupia...

Winciorkowa w dyrdy pobiegła do domu i zanim jako tako wyporządkowała izbę, przyszedł ksiądz.

Wpuściła go do alkierza, a sama z godzinę klęczała przed obrazami w pierwszej izbie, zanim wyszedł od chorego.

Był bardzo wzruszony.

— Nie bójcie się, chłopak wyzdrowieje... trzeba mu tylko lekarstw...

— Ale skąd i jakich? a może ojciec duchowny napisałby do japteki.

— A no, dobrze, zaraz pojedę do miasta; przyjdźcie w południe do mnie, to już będą.

Winciorkowa aż dygotała z rozrzewnienia i wdzięczności, chciała ucałować jego nogi, ale ją odepchnął:

— Nie bądź głupia! Jezusa ano ułap za święte nóżki i podziękuj!

— Jakbym zwiosnę miała w syrcul — szepotała do Tekli, po wyjściu księdza.

I po tylu dniach dręczących ciemności zaczęła w chałupie świtać nadzieja.

VII.

Wiosna już przyszła.

Przez cały kwiecień padały ciepłe, obfite deszcze, ale pewnego dnia, pewnego niedzielnego ma-

jowego poranku wyrzało słońce i świat cały stanął w zieleni, w kwiatkach, w śpiewie ptasząt, w radosnem, wiosennem rozmajeniu.

Jeszcze czarne role szklily się wodą, jeszcze po brózdach, wskroś zielonych runi i młodych zbóż błyszczały smugi wody, jeszcze drogi pełne były błota, jeszcze czasem chłodnawy wiatr pociągnął od lasów, a resztki brudnych chmur przewalały się po niebie—a już nad polami, nad lasami, w sercach ludzi i zwierząt, w szumie wiatrów, w szmerze strumieni, w młodej zieleni drzew śpiewała wiosna radosny, triumfujący hymn!

Przyłęk podobny był do olbrzymiego klombu kwiatów.

Powietrze, przesycone zapachami kwiatów drzew owocowych, drażniło i upajało pieśczołwym powiewem.

Jaskółki szalały pod czystym, bladawym błękitem nieba, przewijały się jak kule wskroś drzew okwieconych, wpadały do pustych stodół, zaglądały do okien mieszkań i wybierały miejsca na gniazda.

Trawy się bujnie puszyły aksamitnym kobiercem, zboża już się przeganiały z wiatrem jak fale, już szły ku kłosom, pięły się wyżej, do słońca. Bociany klekotały po pustych jeszcze gniazdach, brodziły po niskich łąkach wśród rozkwitłych kaczęńców, co jak drogie kamienie paliły się ostremi barwami wśród traw. Po rowach, nad drogami, na miedzach i ugorach pełno było stokrotek i wczes-

nych słażów i trzepotów ptasich. Radość odra-
dzania, szczęścia, kwitnięcia buchała z ziemi,
z drzew, ze słońca, z piersi ludzkich.

W Przyłęku wiśnie już okwitły, ale kwitły
natomiast bardzo obficie wczesne jabłonie, których
były pełne ogrody. Szare, niskie domy ginęły pod
girlandami i chmurami kwiecia, nad którymi brzę-
czały pszczelne roje.

Wieś pełna była cichości świątecznego odpo-
czynku.

Przed chałupami, wśród opłotków, na podwó-
rzach, przy studniach myli się z powagą a doku-
mentnie chłopci, wiatr ich obsuszał ciepły lub ob-
cierały obwisłe gałęzie kwiatów różowych. A w głę-
biach domów, po komorach, oborach, stajniach hu-
czał rój ludzki radośnie.

Czasem pieśń jaka wyleciała jak ptak z okien-
ka i utonęła w kwiatach jabłoni; czasem wołanie
jakie huknęło i leciało ku pastwiskom, pełnym
śmiechów dzieci i porykiwań latujących się krów.
A wszędzie radość brzmiała a wesele.

A gdy w cichem powietrzu zadygotał srebrny
głos kościelnej sygnaturki, wychodzili zwolna z do-
mów i ciągnęli sznurami na nabożeństwo; to starsi
gospodarze w granatowych kapotach, przewiązani
czerwonemi pasami, to gospodynie całe w czerwieni
wełniaków i zapasek, to parobcy w spencerkach
pasiastych, to dziewczyny w białych chustach na
głowie, z książkami w ręku do nabożeństwa i z trze-
wikami w drugim, to dzieci...

Od lasów, bokiem drogi wchodziło do wsi dwoje ludzi.

Na kulach kusztykał stary, tłusty i ślepy dziad, przywiązany sznurkiem do baby, idącej przed nim.

— Śpiesz się, bo się opóźnim!—mruczała, pociągając go lekko.

— Głupiaś, jeszcze czas, do płotów nie będę się ano po próżnicy wydzierał, a i przed sumą nikt nie da grosika.

Pociągnął nosem i szepnął:

— Musi być, co kwitną jabłonki!

— Przecie, cała wieś jak umalowana.

— Czerwono?

— Hale! jabłonki! to juści, że nie modro.

— Kartofle wschodzą, co?

— Głupi! a kiedy to miały wejść, w te pluchy!

— Ludzie muszą być na drodze, bo coś nie-coś miarkuję.

— Wałą do kościoła.

Skoro minęli pierwsze chałupy, dziad przygarbił się bardziej, pochylił nagi łeb na piersi i żalosnym, jęklwym głosem zaśpiewał litanję, baba dośpiewywała ochryple i tak szli, nie wstępując nigdzie, ku kościołowi.

— Głośniej, kobieto! głośniej! Ludzie pobożne lubią, coby całym gardłem chwalić Pana Boga, a nie przez zęby.

— Wstąpimy to gdzie?

— Ni... poco? żeby ci dały skibę chleba. Jeszcze prosiak ma co żreć!

Pozdrawiali ich ludzie przechodzący, bo znani byli wsi całej, a dziad przystawał, częstował tabaką, wypytywał, pogadywał to i owo i kuszykał dalej.

— Do Winciorkowej trza wstąpić.

— Acha, to do tej chałupy za wodą, a może po kościele!

-- Prowadź!—i kijaszkiem szturgnął ją w bok.

Winciorkowa właśnie szykowała się do kościoła, ale ujrawszy skręcających do niej dziadów, otworzyła drzwi narozcież.

Dziad usiadł odsapnąć, bo się srodze już zmęczył...

— Kulasów ano nie czuję!

— Zdaleka idziecie?

— I... milkę z czemś, z Górek... dla młodego to tyle, co nic, ale na mnie starego już za dużo. Winciorkowa, a chodźcie-no bliżej...

Stara przysunęła się, niespokojnie patrząc na niego.

— Mają już oko na waszą chałupę — szepnął jej do ucha.— Spotkałem starszego, a ten mi rzekł: Wiemy, że Jasiak jest w domu, że się jeszcze lekuje, ale niech się jeno wylekuje, to my go znajdziemy! Tak słyszałem i umyślnie skręciłem bez Przyłek, coby wam po chrześcijańsku powiedzieć. Gadałem mu, że to nieprawda, jażem z nim trzy razy pił wódkę...

— A Bóg wam zapłać! — szepnęła strwożona głęboko i dalejże pchać w dziadowską torbę to jajak parę, to słoniny, to kaszy jaglanej, a wreszcie wyciągnęła ze szmatki złotówkę i wetknęła mu ją w rękę. Wzbraniał się wziąć.

— Ja ta nie hadwokat, nie za zapłatę dobrych ludzi bronię, a za dobre słowo. Sieroty wyście biedne, ale kiedy kuniecznie dajecie, to zmówię do Przemienienia Pańskiego pacierz rzetelny.. Hale! pacierz juścić pomóc może, ale trza też i pacierzowi pomagać!

— Powiedzcie! a tobym wam za to dała nie wiedzieć co!

— Nima inszej rady, ino jak pozdrowieje, trza go pchnąć w świat, a czemu to do tej Brazylei nie ma jechać, co?

— Bogać! W tyli świat puszczać samego sierotę.

— A cóż to, ssie jeszcze, czy co? A to se z nim jedźcie.

— Juści, ostawię chałupę i grunt na boskiej opatrności?

— Loboga te kobiety! Sypiesz dobre radzenia, kiej do sakwy, a to wszystko przelatuje, kiej bez przetak! — zachnął się niecierpliwie. — A to sprzedać nie możecie, co?

— Hale! sprzedać! sprzedać! Myślałam ja i o tem, ale się bojałam.

— Bojacie się ino, cobyście chłopaka bez to nie zatracili... Powiem Herszlikowi, to przyjdzie do

was, on wszystkich tam przeprawia, mądry jucha kasztan... powiedzieć?

— A... powiedzcie — odrzekła prędko.

— Tyla narodu tam idzie! A bo to im ta źle, ano poszedł Antek Jadamów z Górek, będzie już temu dwa roki, to w przeszłą niedzielę przysłał czterysta rubli — na spłatę siostrom.. Ho, ho! że-
bym ja miał z pięćdziesiąt lat mniej, żebym ja miał ślepie i kulasy, nie siedziałbym tu z wami, ino tam poszedł. Przyślę wam Herszlika. Panu Bogu oddaję. Prowadź, kobieto, bo (słyszę, że sygnują...

Po wyjściu dziada Winciorkowa wyprowadziła Jaśka, który już zdrowiał szybko, do ogródka za dom, pod jabłonki. Położyła mu na trawie pierzynę i przykryła go nawierzch kożuchem.

— Co waju jest? — szepnął cicho, widząc jej twarz strapioną.

— Juści nie radośnie, nie!

— Wiedzą już? — Uniósł się na pierzynie.

— Leż se spokojnie, leż... Pójdę do kościoła... to się przepytam... posłucham, co gadają.

— Ino nie siedźcie długo, bo mnie samemu ckno — prosił cicho.

— Rychło przylecę... nie bój się...

W kościele było już narodu dosyć, śpiewali różaniec w oczekiwaniu na sumę, a przed kościołem, na cmentarzu chłopci stali kupami i poradzali sobie.

Dziad przed wielkimi drzwiami głośno odmawiał pacierz.

Cisza świąteczna leżała na całym wzgórzu i nadpływała od wsi i od pól zalanych przez słońce.

A potem zaczęło się nabożeństwo.

Winciorkowa, wciśnięta pod chór, usiadła na posadzce i rozmyślała o tem, co jej dziad mówił i radził. Tak się zadumywała, że ani śpiewów, ani grania, ani dzwonekó w prawie nie słyszała, obijały się o jej uszy, jak szum niewyraźny i daleki, jakby szmer tych krajów, o których teraz myślała.

Ocknęła się dopiero na ciszę, jaka się zrobiła nagle, bo ksiądz po skończeniu nabożeństwa od ołtarza przemówił do ludu.

Mówił z powodu emigracji do Brazylii; przedstawiał całą niedolę wychodźstwa, przestrzegał, prosił, błagał, wyklinał prawie tych, co pójdą.

Chłopi słuchali w głębokiem rozważaniu, tręcali się łokciami, spoglądali na siebie, uśmiechali się nieznacznie, nic a nic nie wierzyli.

— A juścił a juścił!... — myśleli.

A ksiądz dalej grzmiał swoim potężnym głosem i z takim zapalem przedstawiał tę zagubę dusz biegnących w obcy i zły świat, że wrażliwsi zaczęli wzdychać głośno, ucierać nosy, a kobiety gdzieś niedzie szlochały; ale masa stała nieporuszona, zimna.

Wysuwali się potem tłumnie przed kościół i w zbitej gęstwie przystanęli prawie wszyscy, aby pogadać.

— A juści! ksiądz się zwąchał z panami i tak gadał...

— Przecież nie będą mieli orać w kogo.

— Markotność ich rozbiera, że będą musieli sami kunie paść abo i robić...

— A toby ksiądz cyganił, co? — ozwał się jakiś głos.

— Cosik w tem jest, że tak mówi — podparł go drugi.

— Cosik?... oto jest, żeśta głupie, jak te barany! Do Brazylji chceta lecieć! lećta! zostawcie grunty, chałupy, wszystko! Dostanieta tam po folwarku z lasem, lewentarzem i z pałacem.. Lećta... ostaną przecież żydy i Niemce i dobrze im będzie na waszych gruntach! O jej! a potem, jak przyjedzieta nazad, to dycht na parobków do nich akuratnie... Będzie wam pasowało... Naród głupi, to gorszy od bydłaka, bo bydłę choć ano słowem i batem pokieruje... a to kiej cielęta... zadziera ogon i leci choćby w cały świat...

— Ano, Grzegorzu, przecież w książkach stoi i powiedają...

— Powiedają! powiedają... żeś głupi, a nie kuźden temu uwierzy, ani kuniecznie tak jest. W książkach stoi! A czytałeś?

— Ja juści nie, ale czytał ten ceglarz z Woli... Miemiec.

— On tak dobrze czytał, jaże od Banacha gront kupił, nato on czytał!

— A te, co poszły łoni, to pieniądze przysyłają...

— Jeden przyśle, a wielu się zmarnuje!

— Grzegorz zły, że to ze starości iść nie mogą!...

— Barany juchy! jak te barany! — zawołał rozniewany Grzegorz, nacisnął czapkę, splunął i poszedł do domu.

Nie jeden się zamedytował, nie jeden rozważał słowa starego, ale większość snuła dalej bałamutne wieści o Brazylji.

A najwięcej mącił umysły sołtys.

— Księdza będzieta słuchać, co? A jak urzędnik przyjdzie po podatek, to ci go ksiądz zapłaci? A jak jeść nie masz, ksiądz ci da, co? A jak grontu mało masz, doda ci go ksiądz, co? — krzyczał.

— Dać nie da, zapłacić za nikogo nie zapłaci, bo sam bidota, ale zawždy ksiądz pomysłonek ma inszy, gazety i książki czyta, to wie, co się we świecie dzieje i nie chciałby narodu gubić—zauważył Sułek, ten, co niedawno miał syna.

— Tak się to mówi, a trzyma on z panami, nie z nami.

— Przecież zmówiły się, coby narodu nie puszczać!

— A pewnie, że tak jest. A co to, tyła ludzi wyjdzie, ani kto robić, ani podatków płacić, ani do wojska iść.

— Strach im jest, że same ostaną i przeto odmawiają.

— A że w Brazylii nijakich podatków niema, że rekruta nie biera, że każdy jest sobie panem, to wierzta, bo urzędnik wam to mówi!

— A ziemi tyle, co człowiek ino zobaczy.

— Jeszcze i pieniędzy na zagospodarowanie.

— I sifkartę na drogę, za darmo.

— Pisał Antek Jadamów, że lasy okrutne, a wszystko la naszego narodu.

— A dlaczego tam tak ciągną naszych?

— Nie wiecie, dlaczego? Urzędnik wam to powie dokumentnie, w powiecie tak mówiły panowie, a to cesarz brazylijski rozgniewał się na swych ludzi, że to katoliki nie są dobre i czarne na gębie, kiejby garnki żelazne, to zawołał największego urzędnika i powiada mu: już mi się przykrzy patrzeć na tych smoluchów, bo to ani grontu uprawiać dobrze nie uprawiają, ani nic, to trza ich wypędzić w góry; a sprowadź mi polski naród, że to najlepsze chłopcy i słyszę grontu u siebie mają mało, chrześcijany to są dobre, słyszę... Z tego poszło wszystko, to jest prawda! — zakończył poważnie, a małe, chytre, lisie oczki jego biegały po twarzach jak błyskawice.

A że to jeść im się już zachciało i baby poszły naprzód, zaczęli się rozchodzić.

Winciorkowa szła w gromadzie i pilnie słuchała wszystkiego, wzdychała głęboko i raz po raz spoglądała na wieś, na lasy, otaczające ciemną

rama, na pola zieleniejące, na rozkwitłe sady, na niebo tak czyste i niebieskie, jak na tym obrazie w kościele, na te słupy dymów niebieskich, które podnosiły się z nad chałup i szły prosto w niebo, na ten lud cały rozgwarzony, różnobarwny, który szedł przed nią drogą; żal dziwny i jeszcze dziwniejszy strach ją ogarniał zwolna i przenikał dygotaniem. Ale znów te rozmowy chłopów, te olśniewające, słodkie obietnice gruntów, lasów, swobody chwytaly ją mocno za serce i tak rozjaśniały duszę, tak rozpałały, że gotowa była jechać chociażby natychmiast!

Przed karczmą, która stała wprost jej domu, tylko wepchnięta w głąb nieco, na skrócie bocznej drogi do dworu, stał strażnik z kilku chłopami.

Winciorkowa zobaczyła go natychmiast i śpiesznie podążała do domu.

Sołtys ją dogonił przed progiem samym.

— Wiecie... rządca powiedział wczoraj w kancelarji, że żeby nie wiem co, to choćby sam złapie Jaśka, a wy tu... — szepnął cicho.

— A strażniki wiedzą, że... że?...

— We wsi całej już ano wiedzą, że jest u was!

Weszli do wnętrza domu.

— Słyszeliście, co to ludzie mówią o tej Brazyliji? — zagadnął po chwili.

— Słyszałam, słyszałam! A bo to wiem, jak est! Niewiada kiej para, a kiej wiara.

— Hale! hale! Jedno tylko miarkuję, że tam Jaškowi byłoby przezpiecznie.

— Niema co, że inaczej już zrobić nie można, niema co!

— A z gruntem?—zapytał, i oczy mu rozbłyśły chciwością.

— A choćby i sprzedam! — odrzekła z determinacją.

— Kto to kupi, tyle chcą sprzedać, że nikt nie chce! — powiedział chytrze.

— A choćby i za pół darmo, to sprzedam. A przecie mój grunt dobry, w jednym polu, a jest i łąka, i chałupa przecież nie ostatnia, i stodółka prawie jest nowa. Grunt doprawiony, jak się patrzy...

— Ho! ho! wiadomo, żeście najlepsza gospodyni na wsi, co prawda, to prawda.

Nie odpowiedziała, poszła do komory i wyniosła stamtąd w garści pieniądze.

— Mościewy! weźcie to... żeby się ano nie dowiedziały... — prosiła cicho.

— Już ja to wszystko urychtuję... — Podniósł się i obciągał kapotę, a na odchodnym rzekł: — Jak wychorzeje, to zaraz jedźta! Panu Bogu oddaję...

— A z gruntem się nie śpieszcie i nie mówcie o tem nikomu.

— To się wie, zarazby się domiarkowali.

— I tak już chłopcy odgrają, bo rządca powiedział, że całą wieś zaskarży, jako Jaška wszyscy przechowują.

— Żeby on Boga przy skonaniu nie oglądał za naszą krzywdę! — zawołała namiętnie.

— Jakbyście potrzebowali kuniecznie, to ja bym kupił... nie dla siebie, bo człowiek grosza przy duszy nie ma, ale mówił mi Adam z Zacharek, coby mu się obejrzyć za gruntem dla syna, że to go żeni...

— Przyjdźcie którego dnia, to se pomówimy...

— To jest sześć morgów z łąką?

— Sześć morgów pola, a morga łąki.

— Statki gospodarskie macie jakie?

— Są wszystkie i prawie nowe, ale to już osobnobyśmy się godzili...

— A grunt w tabeli nie stoi? — zagadnął już z progu.

— Nie, bo to mój nieboszczyk dostali jeszcze dawniej..

— Zostańcie z Bogiem!

Podali sobie ręce i sołtys wyszedł głęboko uradowany tą pewnością, że grunt kupi za byle co, dawno on już miał na niego ochotę.

Stara zajrzała pod jabłonki do Jaśka i zakrzętnęła się około obiadu, bo Tekla siedziała w swojej stancji i co chwila wpadała z okrzykiem:

— A zobaczcie no, bo ledwie już dycha!

Jakoż dziecko jej ledwie dychało — dusił je krup...

Nie zajmowała się niem wielce Winciorkowa; a bo to miała mało swoich zmartwień, a po-

em cóżby mi pomogła, kiedy już ostatnią parą piskałol...

Ugotowała obiad i zaniósła go chłopakowi do ogródka.

Jasiek szybko powracał do zdrowia; lekarstwa księżę, wiosna, no i młodość zwyciężyły wkońcu chorobę; chodzić jeszcze nie mógł, jeszcze go czasem w piersiach okrutnie bolało, ale już rumieńce zaczynały grać pod wybielałą skórą twarzy i more dre oczy patrzyły coraz weselej.

Leżał na pierzynach, pod kwitnącemi jabłonkami, które pachnącym baldachimem z kwiatów osłaniały go od słońca.

— Spałeś se? — zapytała, siadając przy nim.

— Gdzietam! Dzwonienie słychać było, tom zmówił pacierz jeden i drugi, a potem, że to tak pszczoły brzęczą na kwiatach, że tak pachnie, tom leżał i czekał na was, matko... — Wziął się do jedzenia.

— Dobrze ci, co?

— Dobrze matulu, dobrze!

— Bok cię nie bolał?

— Nie, matko. O! dzwonią już na nieszpory.

Przymilkli oboje, bo po świegotliwym śpiewie sygnaturki ozwały się wielkie dzwony i były tak potężnie, aż ziemia drżała i kwiaty jabłoni zaczęły opadać jak różowe motyle na Jaśkową głowę i trawę zieloną...

— Jasiek!

Podniósł zasłuchane oczy.

— Wiedzą, że tutaj jesteś!

Gwałtownie rzucił się na pierzynach.

— Połóż się, nie bojaj się, nie dam ja cię, synku, nie.

Czarna, spracowana ręka gładziła po jego twarzy i oczach, opowiadając mu o wszystkim, co słyszała w kościele i co powiedział jej sołtys.

— Ścierwy! Zapiaciłbym dobrze! Niech mnie ino wydadzą! — szeptał, zaciskając pięście i grożąc niemi wsi.

— Cicho, dziecko, cicho, pojedziemy se. — I opowiedziała mu, jako już dawno, jak tylko przyszedł do niej, świeciła w niej myśl, aby sprzedać grunt, chałupę, dobytek cały i wynieść się do tej Brazylji.

— Dobrze, matko, sprzedajcie wszystko, na wasze imię jest gospodarka, sprzedajcie i pojedziemy. A niechta te wszystkie przepadną, kiej człowiek poczciwy żyć nie może tutaj. Zabijaki ino same, a okpisy, a oszukańce, a Judasze. Jakby tylko najprędzej, matko! najprędzej! — wołał energicznie, twarz mu rozbliły nadzieją innego, lepszego i wolnego życia.

— Dobrze, chłopaku! Pójdę na wieś, to się przewiem pomiędzy ludźmi, abo i w karczmie rzeknę jakie słowo o gruncie, co powiedzą ludzie na to...

— A sołtysowi nie sprzedajcie, to Judasz najgorszy z całej wsi. Okpi was i jeszcze mnie wyda, żółtek ten zapowietrzony, a oczy to ma kiej u wilka...

— Leż se tu spokojnie, mów pacierz, a ja pójdę.

VIII.

— Jasiak pozostał sam w ogródku.

Nie mógł uleżeć spokojnie, różne myśli, różne przypuszczenia tak nim owładnęły, że kręcił się wciąż na posłaniu. Ten plan matki olśnił go i tak pociągał, że chciałby już, zaraz, w tej chwili rzucić wszystko i jechać w ten wielki świat. Uciec od tej strasznej myśli, która go wciąż prześladowała, że musi wrócić do więzienia, że musi odsiedzieć swoje... O, bo wiedział dobrze, że prędzej, czy później odnajdą go i wezmą. I tak mu było dziwno nieraz, że tak spokojnie leży już sześć tygodni u matki, że nikt go nie szukał!

To znów leżał spokojnie, patrzył w niebo prześwitujące pomiędzy kwiatami jabłoni i nasłuchiwał głosów wsi...

Jak mu się dusza rwała do tej szerokiej ulicy, obstawionej domami, do tych pól, które widział niewyraźnie przez gęste, wyplecione łożyną płoty ogródka, do ludzi znajomych, do kościoła, do pastwisk nad rzeką, gdzie tyle lat szczęśliwych przebiegał za bydłem, do karczmy, do Nastki wreszcie... ale to ostatnie imię wyrzucał z pamięci, chmurniał nagle i posępnym wzrokiem patrzył w bujną zieleń pokrzyw, co zieloną ścianą przy-

słaniały płoty—i zmógłszy się, nasłuchiwał i wyobrażał sobie, jak to idzie już środkiem drogi, jak ludzie stają, aby go powitać, jak to okna się otwierają i wyglądają niemi kobiety, a z za węgłów wychylają się czerwone twarze dziewczuch... a wszyscy zapraszają do siebie... wysuwają ławki przed dom... częstują... a pytają... a cieszą się, że powrócił... że już zdrowy... a pomstują na rządcę, przez którego siedział... Nie, nie wejdzie nigdzie, nie... obaczy tylko wszystkich... pogada... rozpyta to i owo... i zaprosi parobków abo i gospodarzy do karczmy, na poczęstunek... na przywitanie... Muzykę sprowadzą... dziewczuchy przylecą i dalejże... wesele będzie a uciecha... siedzą jak na odpuszcie...

Uśmiechał się do tych obrazów, przeżywał je wszystkie, pił rozkosz całym sercem... ale przyszło mu na pamięć to, co matka powtarzała za soltysem.

— Wydałyby mnie! — jęknął cicho, blednąc śmiertelnie. — Wydałyby? — pytał jakby siebie. — Juści, żeby wydały.. juści.. Już jabym wam zapłacił za to, żeby wasze dzieci jeszcze popamiętały... — szepnął złowrogo.

Ale że się zmęczył myśleniem, wziął książkę od nabożeństwa, otworzył tam, gdzie było założone różańcem, i wodząc palcem po literach, żeby widzieć lepiej, półgłosem odmawiał nieszpory.

Słońce przygrzewało poczcwie; przez różowe kwiaty lało się dziwnie słodkie, rozpylone światło i drgało złotemi plamami po młodej trawie i po

Jaśka twarzy i włosach jasnych. Przeogromna ci-sza leżała w powietrzu, tam wysoko nad jabłonia-mi, gdzie tylko na tle błękitu przemykały jaskółki, a czasem ciągnęły sznurem kaczki dzikie...

Pod strzechą domu świergotały wróble, a ma-łe omszone szaro gąsięta przenosiły się z miejsca na miejsce, pod wodzą dwóch gęsi i gąsiora, któ-ry wciąż syczał i gonił kury po ogródku, lub do-skakiwał do maciory z prosiętami, która tak ener-gicznie czochała się o jabłonie, że listki kwiatów, niby deszcz różowy, spływały na trawę.

Rzeczka płynęła tuż za płotem i oddziela-jąc ich dom od wsi, bulgotała monotownie.

Było tak cicho, tak ciepło, tak dobrze...

Jasiek przestał się modlić i leżał jakby uto-piony w słodkiej szczęśliwości tego dnia majo-wego. Patrzył poprzez rozchwiane nieco girlandy kwiatów, patrzył daleko, w niebieski błękit, pa-trzył i zapominał o świecie całym. Wiatr miękki, słodki, pieśczośliwy obwiewał mu twarz i chwiał nad nim ukwieconemi gałęziami, pochylał ku nie-mu zielone łodygi chwastów, a jemu pierś rozsze-rzała się radością głęboką, czystą, radością życia, a oczy oczarowane, półsenne, tak niebieskie, jak błękit tam wysoko, pełne były cichych dziękczy-nień i błogości niewypowiedzianych.

Czuł tylko niewyraźnie, że przez niego prze-pływa jakaś przesłodka fala tych blasków, barw, błękitów, słońca, zbóż szumiących, ciszy pól — ży-cia ziemi.

— Mroczy me jakoś! ćmi mi się w głowie!--
Myślał chwilami o stanie swoim i nic nie widział
i nie rozumiał, że Nastka przelazła przez płot od
rzeki i stoi o parę kroków od niego, i patrzy —
była blada jak chusta, jak te kwiaty jabłonek,
pod którymi schylała nisko głowę.

— Jasiek! — szepnęła cicho i oczami pełnemi
strachu, oczekiwania i miłości patrzyła w niego.

Nie usłyszał, nie zobaczył jej.

— Jasiek! — ach! tak trwożnie zatłukło jej
serce, tak trwożnie.

Drgnął, powlókł oczami po trawie, po drze-
wach, po niej, przyciśniętej do jabłonki i przysło-
niętej jej zwisłemi gałęziami, nie spostrzegł, zda-
wał mu się ten głos przywidzeniem.

Nie, już nie mogła wytrzymać, nie—przykle-
ła przy nim i dotykając palcami jego rąk, szepnęła
cicho i łzawo:

— Jasiu! Jasiu! — Nie mogła więcej powiedzieć
ze wzruszenia.

Aż usiadł na pościeli, zdumienie wyjrzało mu
z szeroko otwartych oczów, chwycił ją za ręce,
dotknął jej twarzy, włosów i opadł na poduszkę.

— Poszła... ty... — Nawet nie wiedział, jak mu
się ta obelga wyrwała z piersi.

— Jaśku — adyc to ja!... Adyc ja do ciebie
przyszła.. Jaśku... loboga.. — łzy rześiste popły-
nęły z jej oczów, trzęsła się cała, jak te kwiaty
jabłoni, które wiatr rzucał na nich, zamierała...

— Chudziaku mój, mizeroto, sieroto kochana. Jasieńku mój... — bełkotała przez łzy, dusiła się z bólu i nie mogąc już wytrzymać, rzuciła się na niego, objęła mu nogi rękami i wybuchnęła strasznym płaczem..

A w nim zniknęła zatwardziałość, te łzy ją roztopiły, tylko leżała jeszcze w twarzy surowość mocna i obawa, więc położył rękę na jej włosach i szepnął chmurnie:

— Nastka!

Dziewczyna podniosła się i zaczęła obcierać oczy...

— Tyś się zmówiła z rządcą, żeby mnie wydać, co?

Zachwiała się, jakby ją kto w piersi uderzył.

— U pani... u pani służę... służę...

— A nie mieszkasz to z nim!...

— Jezus Marja! Na tę Matkę Przenajświętszą! na tego Jezusiczka! — wołała, chwytając różaniec z jego książki. — Jasiek, co ty mówisz! Jasiek!

Ale tak ją ból ścisnął za serce, że zbladła śmiertelnie, nie mogła słowa rzec, ino łzy jak perły toczyły się z jej oczów przerażonych.

A on uwierzył w nią odrazu, ten jej krzyk przeszył mu serce taką radością, że się pochylił do niej i szepnął:

— Nastuś! Nastuś moja!

Dziewczyna padła mu na piersi, objęła go rękami i utonęli w mocnym, pełnym łez szczęścia uścisku...

Wiatr znów rozchwiał drzewa i sypał na nich jabłoniowym kwiatem — a potem stanęła cisza i ogarnęła takim spokojem, takim szczęściem ich dusze, że siedzieli na ziemi przy sobie, trzymali się za ręce i oczy ich przenikały się wskroś serc pełnych siebie...

— Dla ciebie uciekłem... dla ciebie...— zaczął urywanym głosem.

— O Jezul

— Taka mnie tęskność rozbierała... taka tęskność...

— Wypłakiwałam ja oczy... wypłakiwałam!...

— Nastuś! Nastuś!

— Jasieńku mój!

— Tyle roków...

— Ale już nie pudziesz, już cię nie puszcę...

I znów siedzieli w ciszy niezgłębionej serc, omdlałych ze szczęścia.

Wróble świergotały sennie pod strzechami, a w klasztornym ogrodzie, na wzgórzu zaczęły gdzie niedzie odzywać się słowiki z kosami na przemian. Upał się już skończył, zawiewał przedwieczorny chłód, przesycony wilgocią i zapachem zbóż zielonych i kwitnących ogrodów.

Drzewa stawały w wielkiej ciszy i zadumaniu, trawy i zboża się pochylały — jakby wszystko zaczęło słuchać klekotania bocianów, szczebiotów jaśkówek i tych dzwonów na Anioł Pański, których jasne, ogromne głosy leciały od kościoła i rozlewały się nad wsią.

Nastka uklęknęła pobożnie, wzięła jego książkę i zaczęła przelazwionym, roztrzęsionym głosem czytać.

— „Anioł Pański zwiastował Marji Pannie“.

Jasiek usiadł, złożył ręce i sercem pełnem wiary powtarzał:

— „Zdrowaś Marja, łaskiś pełna...“

A dzwon długo wołał śpiżowym głosem i rozlewał hymn wieczoru — modlitwy — odpocznienia na wieś przycichłą, na lasy, które niby hufy potężne stały dokoła pochylone, na młode zasłuchane niwy, na strumienie i potoki, co niby srebrne sznury i zwierciadła wybłyskiwały z zieleni.

Skończyli Anioł Pański, ale milczeli; mówiły im tylko serca i oczy rozplamienione, dusze zachwycone, a czasem tylko usta.

— Nie wezmą mi cię już, nie wezmą.

— Nie bój się Nastuś, nie.

— A dybym cię we złoto i srybło ubrała, mój ty sieroto kochany.

— Ty mnie nie znasz, Nastuś, nie. Pobierzemy się, to zobaczysz — już ja cię nie tknę nigdy ręką, i marnego słowa nie powiem, i zarabiać nie dam, nie... Dziewkę se ano weźmiemy, żeby ci lżej było...

— Nie, Jasiek, nie, sama robiła będę, umiem ja wszystko... Zobaczysz, jaka ja robotna, a już porządek w chałupie miał będziesz taki, że i matka lepiej nie robi. A i kole świń, czy kole krów, też chodzić umiem.

— Gospodyni moja kochana! — pogłaskał ją miłośnie po twarzy.

— Ino jest to... że ja biedna sierota, a ty gospodarz, ino... — zaczęła nieśmiało.

— Głupiaś, a chcesz mnie, co?

— Jasiek! Jabym cię nie chciała, ja! — rzuciła mu się na szyję.

A potem mówiła niskim, urywanym ze wzruszenia głosem:

— A pani powiedziała, że za to, co ja dobrze jej służę, to jak pójdę za chłopą, dadzą mi krowę z cielęciem, i maciorkę młodą, i sześć gęsi, i statków ździebko, i obleczenie do ślubu.

— Powiedziała tak dziedziczka, Nastusiu, powiedziała?

— A juści, abo to raz. Jeszcze ze dwie niedziele temu mówiła to przy gospodyni.

— To za twoją poczciwość, Nastusiu! a widzisz Nastuś, za twoją poczciwość!... Będiesz ty gospodynią lepszą od tych wszystkich paparuchów we wsi... będziesz, Nastuś, zobaczysz... A już się ino mojej matki nie bojaj!

— Ale! adyc i rodzonej więcej nie miłowałam! ale ona taka, że dziedziczka powiedziała, co Win-ciorkowa mogłaby być dziedziczka, że taka mądra, jak żadna kobieta we wsi...

— Mówiła tak, Nastuś! Mówiła? Niech jej Pan Jezus da najlepszel!

— Mówiła, Jasiu, mówiła to nawet przy rząd-cy... kiedy... — urwała nagle, bo to słowo, niebacz-

nie wymówione, powlokło chmurą twarz chłopaka, zasepił się, patrzył na nią bacznie i zapytał nieśmiało:

— Nie napastował cię... co? — oczy mu zabłyśły nienawiścią.

— A juści.. ażem się poskarżyła pani... to pani go zawołała na pokoje... to wyszedł stamtąd taki zły, jak ten pies... to potem pomstował, że loboga... na mnie... — mówiła cicho, jakby się skarżąc przed nim...

— Już ja go przyrchtuję... już... już ja mu zapłacę za siebie i za ciebie... już on mnie popamięta... — syczał przez zęby i taka dzika zawierucha zawziętości nim zatrzęśła, że aż posiniał.

— Jasiek! bacz na siebie... on się zna z urzędem, to... a jakby cię znowu wzieny, to jużbym ja sierota, choćby i do studni się rzucić...

— Żebym miał zgnić w kryminale, a swojej krzywdy nie daruję...

— Jasiek, pomiarkuj się! — prosiła błagalnie, pełna trwogi.

Nie odpowiadał, milczeli.

Mrok już ich nakrywał, siedzieli przy sobie, ale dusze ich były daleko od siebie, rozbiegły się jak ptaki spłoszone nienawiścią i trwogą.

Cudny obłok szczęścia się rozwiął i roztopił w tej szarości zmroków, jakie spadały na ziemię. Życie ohydną swoją rękę znów położyło na ich doli...

Siedzieli tak długo, nie mogąc się uspokoić.

Naraz wpadła Winciorkowa i szybko ku nim przemknęła wśród drzew.

Drgnęli oboje przestraszeni.

— Już cię wydały chłopcy! już cię wydały! — szepnęła stara cicho. — Byłam na wsi... byłam potem w karczmie... narodu pełno, jak zwyczajnie przy niedzieli... pili sobie... strażniki siedziały... Banach mnie zobaczył, a że to już był pijany... rozpuścił ozór i powiada: Winciorkowa, a Jasiek już zdrowy, czas mu wracać do kamienicy... do pokojów... — Strażnicy słuchali pilnie... uważałam... a ten pijanica, jak nie zacznie gadać, że teraz wszystkie zbóje mogą se chodzić spokojnie, bo się sołtysowi opłacają... tak strażniki pocichu zaczęły pytać... a drugim chłopom w to graj... powiedziały wszystko o tobie... Jużem zmartwiała... ino me sołtys, że to już był mrok, pociągnął i powiedział, że może być rewizja!... że... — umilkła wyczerpana.

— Które to chłopcy? — zapytał cicho.

— Ano, Banach, Kubik ten z końca, Sikora ze środka, ten bez ślipia, Wójcik i wszystkie, i wszystkie...

— Banach, Kubik, Sikora i Wójcik! — powtarzał wolno, bardzo wolno, wbijając sobie te nazwiska w pamięć, ale nagle zalała go zapamiętałość tak szalona, że zerwał się na nogi, pochwycił za jakiś kołek i krzyknął:

— Niech tu przyjdą, niech mnie chcą wziąć, niech!... — i osłabł tak bardzo, że nogi mu się ugięły, aż się chwycił jabłonki, żeby nie upaść.

— Cicho, synu... cicho... trzeba cosik radzić.

— Trzeba stąd go wyprowadzić! — szepnęła Nastka, budząc się z przerażenia.

— Prawda, tak najlepiej, nie znajdują go, to i nie wezmą, ale gdzie?

— Gdzie? a choćby i do tych dolów za klastor, na górę.. teraz są już puste.

— Dobrze, juści, że ino tam trzeba tylko parę pacierzy przeczekać, żeby całkiem zmrocząło... jeszczeby kto zobaczył.

Zajęła się Jaśkiem, bo ledwie dyszał, taki kaszel gwałtowny go pochwycił.

— Nastuś, wyrzyj przed dom, czy kto nie idzie...

I zaczęła się nieskończenie długa chwila oczekiwania nocy.

Stara przez płot patrzyła na mostek, ale nic nie widziała, powracała też co chwila do Jaśka, który skurczony, jakby zmartwiały, siedział na pierzynie.

Noc zapadła prędko, cisza rozpościerała się nad światem głęboka, tylko od karczmy szły pijackie podśpiewywania, a dźwięki muzyki i głosy schrypnięte; a od łąk ciągnęły na pola krzyki czajek i tumany niskich, białych mgieł podnosiły się nad trawami.

— Nie bój się, Jasiek! Już ja cię nie dam, jedyńaku, nie dam — uspokajała go matka.

Ubrała go przy pomocy Nastki w kożuch, wzięły pierzynę w płachtę i ujawszy pod pachy

mocno, bo ledwie szedł i potaczał się, wyszli z ogródka na podwórze, a stamtąd na ścieżkę, biegnącą tuż pod samą górą, na której stał klasztor.

Szli cicho i bardzo wolno, bo Jasiek męczył się i odpoczywał co chwila, a czasami stara kładła się na ziemi i przyłożywszy ucho do ścierni, nasłuchiwała.

— Przy chałupie nikogo nie słyhać!

— To nic, trzeba iść prędzej — szeptała Nastka niecierpliwie.

— Nie mogę już... nie mogę... o Jezus! — szeptał Jasiek i coraz mocniej opuszczał się na Nastkę, która go prawie niosła.

— Cicho, Jaśku, cicho! Zaraz tam już będziemy — odpowiadała dziewczyna.

Jakoż dociągnęli się do dołów wielkich po kartoflach, które kopano w boku wzgórza, od strony lasu. Stara wyszukała najlepiej zachowany, a wydobywszy skądś wiązkę przegniłej słomy, spuściła się z nią do wnętrza i zrobiła na dnie posłanie, pokryte pierzyną. Wzięły go za ramiona i nogami naprzód spuściły do dołu.

— Nie bój się, Jasiek, niczego... tutaj cię już nie znajdą... a jak ci będzie markotno, że to w ciemności, to zmów sobie pacierz. Nad ranem przyjdę, to ci jeść przyniosę. Już pójdę, parobku kochany, bo trza mi być, jak te psy przyjdą, żeby czego nie zmiarkowały... Nastka też musi bieżyc, żeby we dworze nie gadali czego na nią.

— Nie dajcie mnie matko... nie dajcie... — zawołał łzawym głosem i jak dziecko ułapił matkę za szyję; ten dół i noc przerażały go.

Uspokoił się jednak wkrótce, był bardzo zmęczony.

— Nastuś! to i pójdziesz, co?

— A pójdę, Jasiu! pójdę... ale zaraz, jak państwo spać pójdą, to przylecę i ostanę.

Już nic nie rzekł, ale matka, gładząc go na odchodnem, poczuła, że mu łzy płyną po twarzy.

Szły śpiesznie zpowrotem, a już niedaleko domu, na rozstaju ścieżek, bo jedna szła do Win-ciorkowej chałupy, a druga pięła się wyżej i po wzgórzu spadała ku dworskim zabudowaniom, stara rzekła:

— Nastka, a jak wydasz, to ci już Pan Jezus za to zapłaci...

— Jabym wydała Jaśka! ja? adyćbym w ogień, ady w wodę, ady z największej góry skoczyłabym dla niego...— Rozplakała się serdecznie.

— No, cicho... cicho... wierzę ci... A zajrzyj do niego.

Dziewczyna za odpowiedź całą objęła ją za nogi...

— Ady ja jestem taka wasza, jak ten pies.— Stara objęła ją za głowę i tak się pobratały na śmierć, zmieszawszy łzy swoje, uczucia i uko-chania.

— A niech tam ją sobie bierze, dobra dzie-wucha—myślała stara, biegnąc do domu.

IX.

Nie było jeszcze nikogo w domu.

Stara zapaliła światło i starannie pousuwała z alkierza wszelkie ślady pobytu Jaska. Czuła się o tyle spokojną, że krzątając się około gospodarstwa, odmawiały dawnym zwyczajem pacierze.

Tekla siedziała u siebie, wołała jej przez siebie, ale nie przyszła.

— Pewnikiem śpi — pomyślała, zaglądając do jej izby.

Tekla nieruchoma, wpatrzona w ogień, siedziała z dzieckiem na ręku.

— Co to wam?

— Ano ledwie już zipie... musi być kona...— szepnęła.

— Jezusie Nazareński!

A dziecko już konało; sine, wyprężone, nagie leżało na jej kolanach, z trudnością rżąc i co chwila biło rękami powietrze, jak ptak tonący; ogromny ogień na kominie okrwawiał jego brzuch rozdęty i chude nóżki, zwieszające się bezwładnie.

— Już mu się tylko pacierz należy!—szepnęła Winciorkowa ze współzuciem.

— O moje dzieciątko kochane, o moja kruszyno!—wyłkała z płaczem Tekla, ogarniając dziecko rękami, jakby w obronie przed śmiercią.

Winciorkową omroczył ten widok, bo pomyślała o Jasku, że może i on tam w dole czuje się tak samo.

Nie mogła lecieć do niego, bo mogli przyjść lada chwila, więc z niecierpliwością, coraz bardziej denerwującą, oczekiwała.

Co chwila wybiegała przed dom, patrząc na drogę.

Noc była jakaś posępna i duszna, bez gwiazd, wiatr wilgotny zawiewał z łąk i muskał jej twarz rozpaloną, zgorączkowaną oczekiwaniem... Tłukła się wprost po izbie z udręczenia. To siadała na progu i zapadała w półsen, pełen czuwania, w jakąś martwą ciszę zmęczenia.

Na wsi cicho było, tylko Tekla ryczała wciąż płaczem, a chwilami rozlegał się jej rozplakany, monotony głos:

— Już ty mnie sierotą ostawisz, już ty sobie idziesz do Jezusiczka, na niebieskie pokoje... na radowanie... o Jezu! Jezu! Jezu!...

A od karczmy łały się przyciszone odgłosy muzyki i skłębione, głuche odgłosy tupotów i krzyków, a chwilami gdzieś z pastwisk dalekich, gdzie na noc wypędzano konie, migotał brząsk ogni i leciał smutny, bezdzwięczny śpiew.

Winciorkowa przesiedziała na progu do świtania z tem ciąglem, niepokojącym uczuciem, że zaraz przyjdą.

Ale nie przyszli.

Muzyka w karczmie umilkła, śpiewy scichły, noc jakby zapadła w głuchy sen, a potem zaczęły pisać kury coraz gęściej na północ, a i na odmianę,

bo przed świtaniem ustał wiatr i zaczął kropić drobny, ciepły deszcz.

A ona wciąż czuwała na progu, była zdrętwiała z głodu i trwogi, nie obcierała nawet łez, które od czasu do czasu perlistemi zdrojami płynęły z oczów i zastygały na poczerwieniałej z zimna twarzy. O świcie miała tyle tylko sił, że uklękła przed domem i wpatrzona w zorze blade, co z trudem przeciskały się przez gęste, brudne chmury, modliła się żarliwie.

Tekla z okrzykiem wypadła z izby.

— Umarło! Umarło! Ratujta, ludzie! Loboga ratujta! — I w tem przerażeniu bolesnem chwyciła nagle dziecko na ręce i chciała z niem lecieć na wieś, po ratunek.

Ledwie poradziła ją wstrzymać Winciorkowa, zajęła się zmarłym dzieckiem, a Tekla skuliła się przy kominie i płakała głośno, spazmatycznie.

Winciorkowa tak tem była zajęta, że ani spostrzegła, jak już o dobrym dniu dom otoczyli chłopci, a do środka wchodzili strażnicy z wójtem i soltysem na czele.

— Jasiak Winciorek u was jest?

— To go sobie szukajcie — odparła zimno.

— Prowadźcie! gdzie on jest?

— Pod fartuch go schowałam, bo to maluśkie dzieciątko jest! — wykrzyknęła z nienawistną ironją i najspokojniej w jakiejś niecce zaczęła myć dziecięcego trupka. Ale naraz Tekla zerwała się i ze szczapą w garści rzuciła się na chłopów:

— Czego tu chceta! Wy psy wściekle! Oddajta mi męża, oddajta mi dziecko! Ażebyśta pod płotem pozdychały! ażebyśta się pierwszą strawą potruły, za moje sieroctwo i umęczenie.

Obezwładnili ją rychło, bo darła się do bicia, i poszli szukać Jaśka po domu i po zabudowaniach.

— Szukajcie wiatru w polu! szukajcie! — wołała za nimi.

Juścić, że nie znaleźli, a odchodząc, zapowiedzieli starej, że skoro chłopak się zjawi, ma dać znać sołtysowi.

— Juści! juści! w dyrdy polecę do sołtysa i zaraz go wam wydami! — wołała za nimi, odprowadzając ich oczami aż do karczmy, do której wszyscy weszli.

Ale mimo to nie pobiegła do dołów, bo się obawiała, że może ją kto szpieguje, nie poszła przez dzień cały, pomimo, że się na dobre zachmurzyło i smutna szarość zalała świat.

Dopiero o dobrym zmroku zabrała garnczek z jedzeniem i chyłkiem pobiegła.

Nachyliła się nad otworem dołu i zaczęła niespokojnie wołać:

— Jasiek! Jasiek!

Nie odzywał się, zsunęła się do środka, odszukała go rękami i z trwogą niezmierną potrząsała.

— To ty, matko!

Przebudził się z ciężkiego snu.

— Podnieś się ździebko.

— Byli?...

— Byli, ale dopiero rano. Nie przychodziłam, bo się bojałam, że w dzień łatwiej może kto wypatrzeć...

— Już tu w południe była Nastka.

— Niech jej Pan Jezus da zdrowiel

Podsunęła mu garnczek, wsadziła w rękę łyżkę i pojadał sobie wolno.

W dole ciemno było jak w grobie i stęchle, przegniłe powietrze ciężyło na piersiach. Deszcz pluskał monotonna i przez otwór niezakryty zacinał do środka i sączył się po ścianach.

— Jakże ci?

— Lepiej. Czekałem tak was, że ażę myślę, pójdę, albo col

— Ani mi się rusz krokiem! — zawołała przestraszona.

— A juści, przecież ciągle tu leżał nie będę.

— Wyzdrowiej tylko...

— To pojedziemy! — szepnął cicho, jakby do siebie.

— Pojedziemy. Jużem wszystko obmyśliła.

Namacala jego głowę, przycisnęła ją do swojej piersi i obcierając mu twarz i głaszcząc, szepiała:

— Nie bój się, będzie nam tam dobrze...

— To gdziesik za morze, co?

— Za morze podobno, za morze—powtórzyła wolno.

— Grunty dają darmo...

— „Darmo pono i z lasami i z lewentarzem...”

— A choćby i nie dawały, to sobie kupimy...

— Juści, ale zawždy lepiej dostać, co dają, a za to, co mamy, możnaby dokupić więcej...

Starą zmorzył sen, umilkła na chwilę.

Bór niedaleki szumiał glucho, jakieś ptaki krzyczały, a deszcz wciąż monotownie pluskał, jakby ta noc szara i mętna płakała po dniu wczorajszym.

— Ino mi żal, że to, co dziedziczka obiecała Nastce, jak zamaż pójdzie, to nic nie weźmie, bo przecie ślubu tu brać nie możem, a potem wziąć to bydłatko za morzel

Mówił wolno, ale stara już nie słyszała, zmogła ją zmęczenie i ukołysała cisza, spała oparta plecami o ścianę dołu. Jasiiek przykrył ją kożuchem swoim i chwilę jakby czuwał nad nią, ale i jego sen wkrótce zmożył.

Noc płynęła, deszcz ustawał, natomiast podnosił się wiatr i przewalał się po polach i świstał w otworze dołu. A potem wylaniał się z ciemności świt i zapłakanemi, zrudziałemi od zórz oczami rozwidniał i zaglądał do dołu, do śpiących przy sobie ludzi.

Pierwszy ocknął się Jasiiek i zaraz obudził matkę.

— Idźcie już, bo was kto zobaczy. Ale, Nastka mi mówiła, że kiedyś dziedzic powiedział, że kupiłby łączkę, bo mu się wrzyna w jego pole. Możebyście poszli do dworu, co? Zawsze lepiej zapłaci, niż chłopi.

— Prawda, a że też mnie to do głowy nie przyszło. A to że dwa roki temu, to nawet dziedzic przysyłał z tem ekonomą...

— I trzeba to wszystko duchem robić... — powiedział energicznie...

— Niech ino Herszlik przyjdzie, on przeprowadza ludzi...

— Prawda, sam widziałem. A jakby nie przyszedł do niego żaden...

— Mówili w karczmie, że za dwa tygodnie wychodzą ludzie z Woli...

— Za dwa tygodnie! To ja już będę całkiem zdrowy! — wykrzyknął wesoło.

— Zajdę tu do ciebie wieczorem.

— A idźcie do dziedzica, abo i do księdza po to lekarstwo, ino go dużo przynieście, to prędzej wychoruję—mówił energicznie, prawie rozkazująco, aż stara zatrzęsała się z radości, że jej parobek kochany już tyle sił ma w sobie.

I zaraz po południu tegoż dnia Winciorkowa przyoblekła się w świąteczne szaty i poszła do dworu z tą propozycją sprzedania łączki.

Trochę jej było jakoś nijako iść do państwa z interesem, więc wzdychała nieco markotnie i idąc, układała sobie wszystko, to znów obliczała, co mogą dać dziedzice za łąkę, a ile weźmie za grunt i za wszystko...

...Sześć morgów pola choćby i po sto rubli... łączka z tysiąc złotych!... a teraz dwie krowy... a swynie... a ciele... a porządki... Chałupę też trze-

ba liczyć osobno... a stodółkę też... stodółkę kupi Sułek, chciał już to na zwiosnę...

Dwór był z boku wsi, wciśnięty pomiędzy wzgórze, na którem stał klasztor, a rzeczkę, płynącą obok chałupy Winciorkowej, która przepływała dworski park, rozciągnięty na stoku wzgórza i dotykający klasztornego ogrodu.

Winciorkowa poszła do kuchni, ale tam jej powiedzieli, że państwo są w „ogrodowym pokoju”.

Dwór był parterowy, na podmurowaniu, ogromny, ze spiczastym i bardzo wysokim dachem, ozdobionym dymnikami; od strony ogrodu miał terasę, szerokimi stopniami opadającą do trawników, obwiedzionych niskim, przedziwnie zielonym żywopłotem. Po obu stronach terasy, wskroś trawników, aż do rzeczki, biegły alejki czerwonych głógów i bzów fioletowych — a z okien widać było wielki pas łąk przyłęckich, zamkniętych lasami, i wieś całą, trochę skośnie leżącą w dolinie.

Winciorkowa stanęła przed szklanemi drzwiami wejścia z terasy i zajrzała nieśmiało do wnętrza.

— Czego to?

— Do dziedzica! — odparła chmurnie, cofając się nieco, bo po schodach szedł rządcą ciężkim krokiem.

Był to ogromny, czerwony, ordynarny mężczyzna, z krzaczastemi wąsami i porcelanowo-niebieskimi oczami.

— A! Winciorkowa! Moje uszanowanie! — zawołał ironicznie. — A cóż, dobrzeście schowali

tego zbója, co? Ale go znajdą, ja już tego przypilnuję i poślę go tam, skąd drugi raz nie uciecze...

— Jak Pan Jezus da, w Jego mocy to wszystko, a nie w panowej...

— Do dziedzica macie interes, a jaki?

— Nie panowa do tego głowa, nie...—powiedziała urągliwie.

Trzasnął drzwiami i poszedł.

A ona oparła się plecami o balustradę terasy, ozdobionej wazonami pełnymi kwiatów, i czekała, zapatrzona w zamglony świat i w niebo zachmurzone; zbierało się na deszcz.

W dobry pacierz przybiegła do niej Nastka.

— Dziedzic kazał, co byście przyszl!—szepnęła, całując starą w rękę.

— Byliście?—zapytała cicho, otwierając drzwi przed sobą do wielkiego przedpokoju.

— Całą noc przesiedziałam. Bóg ci zapłać, coś o nim nie zapomniała...

— A dybym ja mu... wszystko... wszystko...—powiedziała gorąco, otwierając wielkie drzwi szklane do pokoju ogromnego, pełnego krzewów zielonych.

Dziedzice siedzieli przy stole okrągłym, na biegunowych krzesłach.

Winciorkowa skłoniła się od drzwi ręką ku ziemi obojgu i zaczęła opowiadać, z czem przyszła.

— Dobrze, kupię od was łąkę. W jesieni będzie geometra, to przemierzy.

— Wielmożny panie, mnie zaraz potrzeba sprzedać, zaraz.

— Dlaczego wam tak pilno! Wyjeżdżacie, czy co?...

— Zaraz mi potrzeba pieniędzy.

— No, przecież jeszcze nie umieracie...

— Kto to wie, komu dzień, abo i godzina przyjdzie, kto to wie...

I tak jej nagle дума zmięła, tak ją za serce coś ścisnęło, że łzy posypały się po jej twarzy bardzo obficie.

Dziedziczka, że to była tkliwa pani, zerwała się i rzekła:

— Co wam jest, czego płaczecie?

— Tak mnie jakoś zamroczyło... tak... — słowa uwięzły jej w gardle, w tem łkaniu, które nią wstrząsało.

Dziedzice byli zmieszani.

A ona oparła się plecami o ścianę i płakała; chustka zsunęła się z jej siwej głowy na kark, i wystąpiła ostro jej twarz bardzo szlachetna, ale tak zmięta, tak szara, taka przegryziona bólami, tak napiętuowana męką, że miała wyraz maski tragicznej. Te łzy, których powstrzymać nie mogła, wyrwały z jej duszy całą jej troskę, całą jej historję. Płacząc, obejmując państwa za nogi, wypowiadała cichym, przebolałym głosem wszystkie swoje cierpienia. Wyżałało swoją dolę to biedne, obrakane cierpieniem serce matczyne. Nie miała przed kim dać folgi uczuciom, a przed państwem mówiła



wszystko, bo przecież jej biednej sieroty nie wydadzą na zgubę.

A dziedziczka, że to tkliwa wielce była pani, tak się przejęła tym smutkiem, aż łzy zwilżyły jej szafirowe oczy i twarz.

— Niobel Chłopska Niobe — szeptała przez łzy do męża po francusku.

— Jakie skamienienie bólu ma w twarzy! Jaka ekspozycja! Co za ton tych siwych włosów, tej twarzy rżniętej jakby w starej miedzi, jaka wspa-
niała w tym ruchu znękania! Cudowna! Cudowna!

— Nie przerywajcie sobie... Płaczcie dalej — zawołała w ekstazie i przyniosła wielki aparat fotograficzny, bo namiętnie zajmowała się fotografią i malarstwem, ale uważała fotografię za rzecz donioślejszą.

Winciorkowa nic z tego nie rozumiała, oparta o ścianę, płakała cicho, a pani, ocierając perły łez, z szafirowych oczów płynące, zdejmowała jej twarz kilka razy.

A dziedzic, kiedy stara uspokoiła się nieco, rzekł łaskawie:

— Zapomniałem, że mnie nie wolno kupować chłopskiego gruntu. Szkoda, bo kupiłbym waszą gospodarkę, na całej długości przylega do moich gruntów.

— Może, wielmożny panie, bo nasz grunt nie jest z ukazu, nie stoi w tabeli...

— Dlaczego?

— A bo grunt z łąką ociec wielmożnego dziedzica dali z dobrej woli mojemu nieboszczykowi. Są na to papiery...

— Nie wiedziałem o tem zupełnie.

— Mój to wywiózł starszego pana do obcych krajów, lekował, bo chory był.. O, wielmożny pan był wtedy jeszcze przy piersi... maluśki...

— Sierotą zostałam z moim Jaśkiem, sierotą!... — zaczęła znów płakać.

Dziedzic, wzruszony jej opowieścią, chodził nerwowo po pokoju.

— Nie płaczcie, matko! Zrobię wszystko, co chcecie... Kupię od was i łąkę i gospodarstwo natchmiast... Nie wiedziałem zupełnie, iż tyle wdzięczności jesteście wam winni... Teraz sobie nieco przypominam, jak przez mgłę, co nieboszczka moja matka mówiła mi przed śmiercią o was... Mały byłem... miałem osiem lat, jak umarła!

Dziedzic aż miał łzy w oczach ze wzruszenia i zdziwowania starej.

— Ależ nie znaleźmy was zupełnie! — wykrzyknął zdumiony.

— Juści, a skądby wielmożni państwo mogli nas znać! Przecie ino ciągiem we świecie, a to w jenteresach swoich... jak każdy!...

Tak się dobrze porozumieli, że gdy wychodziła, dała jej dziedziczka butelkę wina i ciasta jakiegoś dla Jaska, a dziedzic powiedział, że w ciągu trzech dni każe zrobić akt kupna i zapłaci.

Odprowadzili ją oboje państwo aż do ogrodu.

-- A niech wam Pan Jezus błogosławi na dzieciach, na majątku, na honorzel O dobreście wy ludzie, dobre!... — szeptała, upojona ich dobrocią i rozradowana. Aże jakby wiosnę miała w duszy, bo nie poszła do domu, ale obeszła z drugiej strony wzgórze i klasztor, i krzakami, chyłkiem dostała się do Jaśka.

Pilno jej było opowiedzieć mu wszystko i dać to pańskie wino.

A Jasiek z błyszczącymi oczami wysłuchał opowiadania i rzekł:

— Na mszę świętą na ich intencję trza dać.

— A przecie! Jak tylko zrobimy akt i pieniądze zapłacą, zaraz dam na wotywę.

— Pójdę i ja na nią.

— Hale! żeby cię kto zobaczył — zawołała przestraszona.

— I... jak będę zdrowy, to ja się tam nikogo bojał nie będę.

Nie rzekła nic, bo się nie chciała mu sprzeciwić, ale na odchodnem rzekła:

— Zmów se pacierz, Jasiek, bo cię już hardość rozpiera.

Ale i ona bezwiednie uległa tej samej hardości, bo ją opuścił lęk o wszystko, wracała do domu śmiało, z podniesioną głową. Przesłoneczniła jej duszę ta pewność uratowania Jaśka.

Z zapałem uwijała się koło gospodarstwa, tylko od czasu do czasu nachodziły ją jakieś ciężkie myśli, niby cienie kładły się na jej duszę i tra-

piły niepokojem, więc z głuchym bólem patrzyła na pola, na lasy, na wieś... Nie mogła jeszcze uwierzyć, że to naprawdę trzeba będzie to wszystko pożegnać na zawsze!

Szklily się jej oczy łzami dziwnego żalu, opierała się na płocie i patrzyła w ten świat, w te pola, w te łąki, w to niebo — patrzyła, patrzyła, a w duszy miała ból, jaki czuć muszą drzewa, wrywane z korzeniami.

— Raz kozie śmierć! — szeptała z determinacją. — Co będzie, to będzie — dodawała ciszej i robotą głuszyła w sobie takie myśli.

I dla nadania sobie odwagi namawiała Teklę do jazdy z nimi.

— A jak mój wróci z więzienia, to co? — odpowiedziała tamta, krzątając się około dziecka, które zaraz miano chować.

— Przyjedzie za nami.

— Co mi po tem! wszystkie dobroci mi znane, chłopca nie mam, gruntu nie mam, dziecka nie mam, maciorkę, com od was miała, sprzedałam, aby chłopu co grosza posłać — to ta już o sobie dbała nie będę. Sierota ja biedna, sierota, jak ten kolek we płocie!

I już nic nie mówiły, bo przyszedł dziad kościelny, trumienkę zabił, wziął pod pachę i poniósł do kościoła, do kruchty.

Ksiądz po mszy wyszedł, odmówił modlitwę, pokropił święconą wodą, a dziad na postronek tru-

mienkę wziął, zarzucił na plecy, w drugą rękę ujął krzyż i ruszyli na cmentarz.

Deszcz mżył znów uparcie. Kilka kobiet przyłączyło się do nich i powlekli się bokiem drogi, rozmięklej i pełnej kałuż i obsadzonej wierzbami.

Śpiewali „Kto się w opiekę“, ale tak jakoś cicho a niemocnie, że pieśń rozlegała się nad ziemią i opadała jak żalność na przyczerniałe zboża i obwijała się dokoła krzaków cierniowych, obsypanych obmokłym kwiatem.

A na cmentarzu było jeszcze smutniej. Drzewa stały bez ruchu z pospuszczanemi gałęziami, zmoknięte i drżące od zimna, a żółte mogiłki, po których pięły się rozchodniki, rozpościerały się przy ziemi, jakby pod ciężarem tych prostych, czarnych krzyżów, pozatykanych w ziemię. Kilka wron, spłoszonych przez idących, zerwało się z drzew i cicho połopotało do lasu. Dół już czekał gotowy, dziad spuścił trumienkę, aż ziemia jęknęła i rozprysnęła się woda, której tam dosyć naciekło, i zasypywał śpiesznie.

A Tekla, co jak martwa była cały czas, ocknęła się nagle, rzuciła na rozmiękły piasek z ogromnym krzykiem lamentacji:

— O sierota ja, sierota! Ani mnie chłopca, ani mnie gruntu, ani mnie pocieszenia nijakiego... O ty Jezusieczku kochany, wziąłeś se wszystko, wziąłeś. Wziąłeś mnie tego robaka kochanego!... Odeszła se ona dziecina do Ciebie... odeszła, odeszła... Ostawiłeś mnie sierotę jedną, a w płaka-

niu ino, a w sieroctwie ino, a w ucierpieniu ino!
O Jezul Jezul Jezul O! o! o! — lamentowała rwąc
włosy i zanosząc się od płaczu.

A wtórowały jej te pacierze i modlitwy, i westchnienia kobiet, klęczących dokoła mogiłki zasypywanej i szum brzoź zielonych, stojących dokoła w białych, żałobnych koszulach, i ten głuchy jęk trumienki z pod padającej na nią ziemi, i ten deszcz, co siekł nieskończonemi włóknami, i to szaro zielonawe, rozdeszczone powietrze.

A że deszcz się wzmagął, szybko się załatwili i poszli.

A na drodze, tak w połowie drogi, Wincior-kowa spotkała sołtysa, który zawrócił i szedł z nią do domu.

— Byłem u was, ale mnie powiedzieli, żeście poszli na pogrzeb.

— Stamtąd idziemy, chowaliśmy dzieciaka Tekli, wiecie?

— A niechta marnieje, to złodziejskie nasienie!

— Hale! Hale!

Nie śmiała mu się przeciwiać.

— A ja do was wedle tego gruntu... — zaczął cicho i wolno.

— Jakiego gruntu? — zakłopotana się nieco.

— Waszego. Kupiłbym... A że krześcijan też jestem dobry, tobym was nie ukrzywdził. A ma kupić kto drugi, to lepiej niech swojak kupi... a to przecie my i ździebko powinowate, bo przecież wa-

sza matka była mojego ojca rodzoną wujną, nie baczycie to?...

— Juści, że baczę... — odparła cicho, zaniepokojona jego propozycją.

— A sprzedać musicie. Sami przecież na gruncie nie zostaniecie, a Jasiek jechać musi jak najprędzej, bo chociaż urzędnik jestem i robię, co mogę, ale się sam ano nie rządę... Sprzedacie mi, co?

Nie odezwała się, tylko przyśpieszyła kroku.

— Zapłaciłbym wam zaraz, gotowym groszem i mielibyście z czem jechać... no, Winciorkowa, zgodzimy się, co?...

— A no, jest tak, że już grunt to jakbym sprzedała... — powiedziała prędko.

— Komu?

— Dziedzicowi.

— Sprzedaliście! Dziedzicowi! To tak! — wykrzyknął rozwścieklony zawodem, bo już był pewnym, że mu się za pół darmo grunt dostanie. — To tak! Poczekajcie! To ja całą noc stawiałem w karczmie, żeby rewizje zrobiły rano! to ja ochraniałem jak rodzzonego syna, a wyście tak zrobili! Zwąchałaś się ze dworem, to niechże ci dwór pomoże, ty, ty małpo dworska, ty lakudrol ty! — krzyczał coraz wścieklej.

— Stul pysk ty ukrzywdzicielu! — wrzasnęła nagle.

— Ty złodziejska gębo!

— Ja złodziejska! Ja?

— A ty stara, ty...

— A ty oszukańcze, ty złodzieju! ty zbroju.
A strażnika w boru kto zabił?

— Widziałaś ty zapamiętała, widziałaś, co?—
przyskoczył do niej z pięściami.

— A kto kowala spalił, może nie ty!

— A ty czarownico piekielna, adyć zamknę
ci tę gębę, zamknę.

— Zamknij, spróbuj! Jeszcze są sądy... jeszcze
jest sprawiedliwość... trafię ja wszędzie, trafię...

Tak się zaczęli przezywać, tak rwać z pazurami do siebie, tak przyskakiwać, że aż ich kobiety, idące z pogrzebu, rozdzielić musiały, bo sołtys miał już twarz podrapaną, a Winciorkowej chustka nurzała się w błocie.

Zabrały Winciorkową pomiędzy siebie i prowadziły do chałupy, a sołtys szedł za nimi i krzyczał:

— Już ty mnie popamiętasz całe życie. Już ja wam zapłacę! Będziesz ty skomleć jak pies, jeno Jaśka zakuja w kajdany i poślą na Sybir. Już ja wam zapłacę. — Charczał jak pies, duszony wścieklizną.

XI.

Wszystko w Przyłęku szło koleją zwykłą.

Po paru dniach słońce wiosennych zajaśniało słońce, wypilo wody z pól i wysuszyło nieco dro-

gi; pogoda ustaliła się na dobre i wypędzała ludzi do roboty. Kto wychodził z plugiem, kto dosadzał resztkę kartofli. Kto dosiewał jarzyn, a kto znów z pól nizinnych spuszczał nagromadzone wody i kopał przegony; cała wieś była w ciężkiej rolnej pracy a w znoju. Ale robota szła niesporo i jakoś opieszale; nie słychać było w polach gwarów wesółych, a śmiechów, a podśpiewywań.

Ludzie poruszali się wolno, ociężale, jakby zwarzeni smutnemi myślami, opuszczali ręce, wstrzymywali konie w plugach, stawali na roli i przez miedzę, przez zagony, przez zielone pólka żytnie prowadzili rozmowy.

— Wiecie! Wczoraj sześcioro z Bieżywód poszło do Brazylji.

— Prawda! A mówią, że z Malowanej Woli pól wsi się wybiera.

— To komornicy! a w Górkach trzech gospodarzy sprzedało grunta, sprzedali chudobę, sprzedali wszystko i poszli.

— Moiściewy, a co to z tego będzie!

— A co ma być!

— Pan Bóg karę na naród spuścił i rozum mu odebrał.

— Zmarnuje się naród i tyła! — zajęczała jakaś stara.

— Stareście, a pomiarkowania nie macie! Dlaczego się ma zmarnować!

— A to w tyli świat iść, na niewiadome. Pe-dają, że tam mowy naszej nikt nie rozumie, że

wiara insza, że gorąc taki, co garnek z kartoflami, aby ino w piach wrazić, to zaraz się ugotujel... A na morzu powiadają...

— Ale, nie wszystkie przecie idą za morze.

— Do Miemców na robotę idą.

— A bo to u nas roboty niema, col Idą ino próżniaki, a pijanice, a obieżyświaty, idą ano na rozpustę i zatracenie.

— Żebyście, Antoni, cepem tak bili mocno, jak ozorem, zarazbym was najął do młocki, a dobrze zapłacił.

— Żebyś ino co miał młócić! Wio, gniada, wio! — zawołał stary, świsnął batem, ujął pług w ręce i pochylił się i orał dalej.

— Ale, mają robotę, a gdzie? Może u chłopów? Każdyby dwa razy tyle zrobił, co robi, żeby tylko miał, nie potrza mu najemnika. Może we dworze? adyc i tam robia, bo co mają biedaki robić! robia i w kopaniu, to dobrze, jak dostaną pieniądze na Boże Narodzenie, abo i na zwiesnę. A może do fabryków isć! na zmarnowanie! Naszemu człowiekowi potrzeba gruntu, dają im w Brazylji, to tam i idą... Żyją tam inne, to czemu by nie miał żyć nasz naród! A już jak isć na robotę, to przecież lepiej do Miemców, jak do swoich! Zapłaca, uhonorują i jeszcze się tyli świat zobaczy.

— Prawda, prawda! — potwierdzili prawie jednogłośnie.

— I każdy z groszem powraca z Prus.

— I wystrojony kiej dziedzic.

— Kara boska to wszystko razem, nic więcej! — mruzczała niechętna.

Takie i tym podobne rozmowy ciągnęły się codziennie po polach, chałupach, drogach, gdzie się tylko ludzie zeszli; a codziennie prawie zjawiał się w jakiejś wsi Herszlik i cichaczem, pod osłoną ciemności leśnych namawiał na robotę do Prus lub do wyjazdu do Brazylii. A jako skutek jego roboty żarliwej, co parę tygodni wychodziły całe gromady ludzi. Szli młodzi i starzy, szły kobiety i wyrostki, z wężelkami na plecach przesuwali się cichaczem, odprowadzani przez rodziny wśród płaczów i tysięcznych pożegnań. Nie pomogły kazania księży, oddziaływanie dworów, ani pilnowania policji, lud powstawał i olśniony obietnicami lepszej doli, rozpalony ciekawością nowych krain, rzucał wszystko i szedł.

Tak było przez parę tygodni, że Przyłek cały żył w ciągłej gorączce wychodztwa i w posępnym tajemniczym nastroju cichych gawęd o emigrantach, o nowych krajach, o przyszłej doli.

Tak byli wszyscy tem pochłonięci, że mało zwracano uwagi na Jaska Winciorka, który wyzdrowiawszy, przestał się ukrywać i bardzo zuchwale pokazywał się w różnych miejscach.

To go drwale w lesie widzieli, to pastuchy na łąkach, to dworscy ludzie w parku, to był w karczmie, to szedł przez wieś, w biały dzień, hardo spoglądał na ludzi, rzucał pozdrowienia, wiadać, że nie bał się nikogo. Imponowało to wszystkim.

— A niech sobie chodzi spokojnie, dopóki może! Co to! zabił kogo, okradł, podpalił! Że ta trafił widłami pod rządcowe żebra, to i co? Mógł mu dziewuchy do stodoły nie ciągać.

— Powinien teraz rządcy zapłacić za siebie i za wszystkich, a to mnie złapał w lesie z siekierą i zaraz do sądu. Zapłaciłem 15 rubli! A co uciałem, chojaczka kiej ręką! Żebyś, ścierwo, Boga przy skonaniu nie oglądał!

— Ja tam nie Judasz, cobym go wydawał.

— To raz, a potem to onby darował, co?

— Przecie, żeby nie darował, zawzięta jucha.

— Bez dwa roki siedział w kreminale, to on już praktyk!

— Przecie, z takim to trza kiej z jajkiem...

Tak wieś mówiła o nim, a on jakby wiedział, że nikt się nie ośmieli go wydać, pokazywał się we wsi coraz częściej, aż raz na środku drogi spotkał się z sołtysem.

Wilcza twarz sołtysa ściągnęła się jak do kąsania, rzucił się do Jaska.

— Te, kundlu! nie ruchaj, bo ci kulasy poprzetrącam! — mruknął Jasiek.

— Złodziej! Łapać! Chłopcy, dawać postronki! Łapać go! — krzyczał rozwścieklony, ale nikt mu nie spieszył z pomocą, wszyscy pochowali się za węgly.

— Sołtysie, idźcie sobie swoją drogą, nie zaczepiajcie — prosił chłopak.

— Do kancelarji do kryminału, ty złodzieju!—rzucił się na niego.

Jaškowi zbrakło cierpliwości, uderzył go w łeb raz i drugi, rzucił na ziemię, skopał po bokach co się zmieściło i poszedł.

A sołtysa zanieśli do domu i chorzał parę dni.

— Pono was, sołtysie, gąsior potłukł, czy co?—kpili chłopci potem.

— Juchy! żadnego pomiarkowania nie mają dla takiej honornej osoby!

— Ale! tak zbić sołtysa, kiej prosty gliniany garnek!

— A to baba kijanką szmat lepiej nie spierze...

A sołtys nie rzekł nic, tylko gnany wściekłością i wstydem, pobiegł do kancelarji, a potem długo konferował z rządcą.

Zato najbliższej niedzieli, przed kościołem, ogłoszono przy bębnie:

— „że kto złapie Jaška Winciorka i dostawi do kancelarji gminnej, ten dostanie pięćdziesiąt rubli nagrody“.

— Kawał grosza, a czy to ino rzetelnie dadzą! — mówiono przed kościołem.

— Taki zbój! Co do grosza wyplacą! — zawołał sołtys.

Parę dni wrzało o tem we wsi, we wszystkich chałupach, nikt wprawdzie wydawać Jaška nie myślał, ale pięćdziesiąt rubli... zawsze to kawał pieniędzy. Jaki taki z chciwszych obliczał już, coby

— Ni... poco? żeby ci dały skibę chleba. Jeszcze prosiak ma co żreć!

Pozdrawiali ich ludzie przechodzący, bo znani byli wsi całej, a dziad przystawał, częstował tabaką, wypytywał, pogadywał to i owo i kuszyłką dalej.

— Do Winciorkowej trza wstąpić.

— Acha, to do tej chałupy za wodą, a może po kościele!

— Prowadź!—i kijaszkiem szturgnął ją w bok.

Winciorkowa właśnie szykowała się do kościoła, ale ujrzawszy skręcających do niej dziadów, otworzyła drzwi narozcież.

Dziad usiadł odsapnąć, bo się srodze już zmęczył...

— Kulasów ano nie czuję!

— Zdaleka idziecie?

— I... milkę z czemś, z Górek... dla młodego to tyle, co nic, ale na mnie starego już za dużo. Winciorkowa, a chodźcie-no bliżej...

Stara przysunęła się, niespokojnie patrząc na niego.

— Mają już oko na waszą chałupę — szepnął jej do ucha.— Spotkałem starszego, a ten mi rzekł: Wiemy, że Jasiek jest w domu, że się jeszcze lekuje, ale niech się jeno wylekuje, to my go znajdziemy! Tak słyszałem i umyślnie skręciłem bez Przyłęk, coby wam po chrześcijańsku powiedzieć. Gadałem mu, że to nieprawda, jażem z nim trzy razy pił wódkę...

— A Bóg wam zapłać! — szepnęła strwożona głęboko i dalejże pchać w dziadowską torbę to jajak parę, to słoniny, to kaszy jaglanej, a wreszcie wyciągnęła ze szmatki złotówkę i wetknęła mu ją w rękę. Wzbraniał się wziąć.

— Ja ta nie hadwokat, nie za zapłatę dobrych ludzi bronię, a za dobre słowo. Sieroty wyście biedne, ale kiedy kuniecznie dajecie, to zmówię do Przemienienia Pańskiego pacierz rzetelny... Halel pacierz juścić pomóc może, ale trza też i pacierzowi pomagać!

— Powiedzcie! a tobym wam za to dała nie wiedzieć co!

— Nima inszej rady, ino jak pozdrowieje, trza go pchnąć w świat, a czemu to do tej Brazylei nie ma jechać, co?

— Bogać! W tyli świat puszczać samego sierotę.

— A cóż to, ssie jeszcze, czy co? A to se z nim jedźcie.

— Juści, ostawię chałupę i grunt na boskiej opatrności?

— Loboga te kobiety! Sypiesz dobre radzenia, kiej do sakwy, a to wszystko przelatuje, kiej bez przetak! — zachnął się niecierpliwie. — A to sprzedać nie możecie, co?

— Halel sprzedać! sprzedać! Myślałam ja i o tem, ale się bojałam.

— Bojacie się ino, cobyście chłopaka bez to nie zatracili... Powiem Herszlikowi, to przyjdzie do

was, on wszystkich tam przeprawia, mądry jucha kasztan... powiedzieć?

— A... powiedzcie — odrzekła prędko.

— Tyla narodu tam idzie! A bo to im ta źle, ano poszedł Antek Jadamów z Górek, będzie już temu dwa roki, to w przeszłą niedzielę przysłał czterysta rubli — na spłatę siostram... Ho, hol! że-
bym ja miał z pięćdziesiąt lat mniej, żebym ja miał ślepie i kulasy, nie siedziałbym tu z wami, ino tam poszedł. Przysłę wam Herszlika. Panu Bogu oddaję. Prowadź, kobieto, bo słyszę, że sygnują...

Po wyjściu dziada Winciorkowa wyprowadziła Jaska, który już zdrowiał szybko, do ogródka za dom, pod jabłonki. Położyła mu na trawie pierzynę i przykryła go nawierzch kożuchem.

— Co waju jest? — szepnął cicho, widząc jej twarz strapioną.

— Juści nie radośnie, nie!

— Wiedzą już? — Uniósł się na pierzynie.

— Leż se spokojnie, leż... Pójdę do kościoła... to się przepytam... posłucham, co gadają.

— Ino nie siedźcie długo, bo mnie samemu ckno—prosił cicho.

— Rychło przylecę... nie bój się...

W kościele było już narodu dosyć, śpiewali różaniec w oczekiwaniu na sunę, a przed kościołem, na cmentarzu chłopci stali kupami i poradzali sobie.

Dziad przed wielkimi drzwiami głośno od-
mawiał pacierz.

Cisza świąteczna leżała na całym wzgórzu
i nadpływała od wsi i od pól zalanych przez
słońce.

A potem zaczęło się nabożeństwo.

Winciorkowa, wciśnięta pod chór, usiadła na
posadzce i rozmyślała o tem, co jej dziad mówił
i radził. Tak się zadumywała, że ani śpiewów,
ani grania, ani dzwonekó w prawie nie słyszała,
obijały się o jej uszy, jak szum niewyraźny i da-
leki, jakby szmer tych krajów, o których teraz
myślała.

Ocknęła się dopiero na ciszę, jaka się zrobiła
nagle, bo ksiądz po skończeniu nabożeństwa od
ołtarza przemówił do ludu.

Mówił z powodu emigracji do Brazylii; przed-
stawiał całą niedolę wychodźstwa, przestrzegał,
prosił, błagał, wyklinał prawie tych, co pójdą.

Chłopi słuchali w głębokim rozważaniu, trą-
cali się łokciami, spoglądali na siebie, uśmiechali
się nieznacznie, nic a nic nie wierzyli.

— A jużcił a jużcił... -- myśleli.

A ksiądz dalej grzmiał swoim potężnym gło-
sem i z takim zapałem przedstawiał tę zagubę dusz
biegnących w obcy i zły świat, że wrażliwsi zaczęli
wzdychać głośno, ucierać nosy, a kobiety gdzie
niegdzie szlochały; ale masa stała nieporuszona,
zimna.

Wysuwali się potem tłumnie przed kościół i w zbitej gęstwie przystanęli prawie wszyscy, aby pogadać.

— A juścił ksiądz się zważał z panami i tak gadał...

— Przecież nie będą mieli orać w kogo.

— Markotność ich rozbiera, że będą musieli sami kunie paść abo i robić...

— A toby ksiądz cyganił, co? — ozwał się jakiś głos.

— Cosik w tem jest, że tak mówi — podparł go drugi.

— Cosik?... oto jest, żeśta głupie, jak te barany! Do Brazylji chceta lecieć! lećta! zostawcie grunty, chałupy, wszystko! Dostanieta tam po folwarku z lasem, lewentarzem i z pałacem.. Lećta... ostaną przecież żydy i Niemce i dobrze im będzie na waszych gruntach! O jej! a potem, jak przyjedzieta nazad, to dycht na parobków do nich akuratnie... Będzie wam pasowało... Naród głupi, to gorszy od bydlaka, bo bydlę choć ano słowem i batem pokieruje... a to kiej cieleća... zadziera ogon i leci choćby w cały świat...

— Ano, Grzegorz, przecież w książkach stoi i powiedają...

— Powiedają! powiedają... żeś głupi, a nie kużden temu uwierzy, ani kuniecznie tak jest. W książkach stoi! A czytaeś?

— Ja juści nie, ale czytał ten ceglarz z Woli... Miemiec.

— On tak dobrze czytał, jaże od Banacha gront kupił, nato on czytał!

— A te, co poszły łoni, to pieniądze przysyłają...

— Jeden przyśle, a wielu się zmarnuje!

— Grzegorz zły, że to ze starości iść nie mogą!...

— Barany juchy! jak te barany! — zawołał rozgniewany Grzegorz, nacisnął czapkę, splunął i poszedł do domu.

Niejeden się zamedytował, niejeden rozważał słowa starego, ale większość snuła dalej bałamutne wieści o Brazylji.

A najwięcej mącił umysły sołtys.

— Księdza będzieta słuchać, co? A jak urzędnik przyjdzie po podatek, to ci go ksiądz zapłaci? A jak jeść nie masz, ksiądz ci da, co? A jak grontu mało masz, doda ci go ksiądz, co? — krzyczał.

— Dać nie da, zapłacić za nikogo nie zapłaci, bo sam bidota, ale zawždy ksiądz pomysłonek ma inszy, gazety i książki czyta, to wie, co się we świecie dzieje i nie chciałby narodu gubić — zauważył Sułek, ten, co niedawno miał syna.

— Tak się to mówi, a trzyma on z panami, nie z nami.

— Przecież zmówiły się, coby narodu nie puszcząć!

— A pewnie, że tak jest. A co to, tyła ludzi wyjdzie, ani kto robić, ani podatków płacić, ani do wojska iść.

— Strach im jest, że same ostaną i przeto odmawiają.

— A że w Brazylii nijakich podatków niema, że rekruta nie biera, że każdy jest sobie panem, to wierzta, bo urzędnik wam to mówi!

— A ziemi tyle, co człowiek ino zobaczy.

— Jeszcze i pieniędzy na zagospodarowanie.

— I sifkartę na drogę, za darmo.

— Pisał Antek Jadamów, że lasy okrutne, a wszystko la naszego narodu.

— A dlaczego tam tak ciągną naszych?

— Nie wiecie, dlaczego? Urzędnik wam to powie dokumentnie, w powiecie tak mówiły panowie, a to cesarz brazylijski rozgniewał się na swych ludzi, że to katoliki nie są dobre i czarne na gębie, kiejby garnki żelazne, to zawołał największego urzędnika i powiada mu: już mi się przykrzy patrzeć na tych smoluchów, bo to ani grontu uprawiać dobrze nie uprawiają, ani nic, to trza ich wypędzić w góry; a sprowadź mi polski naród, że to najlepsze chłopcy i słyszę grontu u siebie mają mało, chrześcijany to są dobre, słyszę... Z tego poszło wszystko, to jest prawda! — zakończył poważnie, a małe, chytre, lisie oczki jego biegały po twarzach jak błyskawice.

A że to jeść im się już zachciało i baby poszły naprzód, zaczęli się rozchodzić.

Winciorkowa szła w gromadzie i pilnie słuchała wszystkiego, wdychała głęboko i raz po raz spoglądała na wieś, na lasy, otaczające ciemną

ramą, na pola zieleniejące, na rozkwitłe sady, na niebo tak czyste i niebieskie, jak na tym obrazie w kościele, na te słupy dymów niebieskich, które podnosiły się z nad chałup i szły prosto w niebo, na ten lud cały rozgwarzony, różnobarwny, który szedł przed nią drogą; żal dziwny i jeszcze dziwniejszy strach ją ogarniał zwolna i przenikał dygotaniem. Ale znów te rozmowy chłopów, te olśniewające, słodkie obietnice gruntów, lasów, swobody chwytaly ją mocno za serce i tak rozjaśniały duszę, tak rozpalały, że gotowa była jechać chociażby natychmiast!

Przed karczmą, która stała wprost jej domu, tylko wepchnięta w głąb nieco, na skrócie bocznej drogi do dworu, stał strażnik z kilku chłopami.

Winciorkowa zobaczyła go natychmiast i śpiesznie podążyła do domu.

Sołtys ją dogonił przed progiem samym.

— Wiecie... rządca powiedział wczoraj w kancelarji, że żeby nie wiem co, to choćby sam złapie Jaśka, a wy tu... — szepnął cicho.

— A strażniki wiedzą, że... że?...

— We wsi całej już ano wiedzą, że jest u was!

Weszli do wnętrza domu.

— Słyszeliście, co to ludzie mówią o tej Brazyliji? — zagadnął po chwili.

— Słyszałam, słyszałam! A bo to wiem, jak est! Niewiada kiej para, a kiej wiara.

— Hale! hale! Jedno tylko miarkuję, że tam Jaškowi byłoby przepiecznie.

— Niema co, że inaczej już zrobić nie można, niema co!

— A z gruntem?—zapytał, i oczy mu rozbłyły chciwością.

— A choćby i sprzedam! — odrzekła z determinacją.

— Kto to kupi, tyle chcą sprzedać, że nikt nie chce! — powiedział chytrze.

— A choćby i za pół darmo, to sprzedam. A przecie mój grunt dobry, w jednym polu, a jest i łąka, i chałupa przecież nie ostatnia, i stodołka prawie jest nowa. Grunt doprawiony, jak się patrzy...

— Ho! ho! wiadomo, żeście najlepsza gospodyni na wsi, co prawda, to prawda.

Nie odpowiedziała, poszła do komory i wyniosła stamtąd w garści pieniądze.

— Mościewy! weźcie to... żeby się ano nie dowiedziały... — prosiła cicho.

— Już ja to wszystko urychtuję... — Podniósł się i obciągał kapotę, a na odchodnem rzekł: — Jak wychorzeje, to zaraz jedźta! Panu Bogu oddaję...

— A z gruntem się nie śpieszcie i nie mówcie o tem nikomu.

— To się wie, zarazby się domiarkowali.

— I tak już chłopcy odgrają, bo rządca powiedział, że całą wieś zaskarzy, jako Jaška wszyscy przechowują.

— Żeby on Boga przy skonaniu nie oglądał za naszą krzywdę! — zawołała namiętnie.

— Jakbyście potrzebowali kuniecznie, to ja bym kupił... nie dla siebie, bo człowiek grosza przy duszy nie ma, ale mówię mi Adam z Zacharek, coby mu się obejrzeć za gruntem dla syna, że to go żeni...

— Przyjdźcie którego dnia, to se pomówimy...

— To jest sześć morgów z łąką?

— Sześć morgów pola, a morga łąki.

— Statki gospodarskie macie jakie?

— Są wszystkie i prawie nowe, ale to już osobnobyśmy się godzili...

— A grunt w tabeli nie stoi? — zagadnął już z progu.

— Nie, bo to mój nieboszczyk dostali jeszcze dawniej..

— Zostańcie z Bogiem!

Podali sobie ręce i sołtys wyszedł głęboko uradowany tą pewnością, że grunt kupi za byle co, dawno on już miał na niego ochotę.

Stara zajrzała pod jabłonki do Jaśka i zakrzętnęła się około obiadu, bo Tekla siedziała w swojej stancji i co chwila wpadała z okrzykiem:

— A zobaczcie no, bo ledwie już dychał

Jakoż dziecko jej ledwie dychało — dusił je krup...

Nie zajmowała się niem wielce Winciorkowa; a bo to miała mało swoich zmartwień, a po-

em cóżby mi pomogła, kiedy już ostatnią parą piskało!...

Ugotowała obiad i zaniosiła go chłopakowi do ogródka.

Jasiek szybko powracał do zdrowia; lekarstwa księżę, wiosna, no i młodość zwyciężyły wkońcu chorobę; chodzić jeszcze nie mógł, jeszcze go czasem w piersiach okrutnie bolało, ale już rumieńce zaczynały grać pod wybielałą skórą twarzy i modre oczy patrzyły coraz weselej.

Leżał na pierzynach, pod kwitnącemi jabłonkami, które pachnącym baldachimem z kwiatów osłaniały go od słońca.

— Spałeś se? — zapytała, siadając przy nim.

— Gdzietam! Dzwonienie słyhać było, tom zmówił pacierz jeden i drugi, a potem, że to tak pszczoły brzęczą na kwiatach, że tak pachnie, tom leżał i czekał na was, matko... — Wziął się do jedzenia.

— Dobrze ci, co?

— Dobrze matulu, dobrze!

— Bok cię nie bolał?

— Nie, matko. O! dzwonią już na nieszpory.

Przymilkli oboje, bo po świegotliwym śpiewie sygnaturki ozwały się wielkie dzwony i były tak potężnie, aż ziemia drżała i kwiaty jabłoni zaczęły opadać jak różowe motyle na Jaskową głowę i trawę zieloną...

— Jasiek!

Podniósł zasłuchane oczy.

— Wiedzą, że tutaj jesteś!

Gwałtownie rzucił się na pierzynach.

— Połóż się, nie bojaj się, nie dam ja cię, synku, nie.

Czarna, spracowana ręka gładziła po jego twarzy i oczach, opowiadając mu o wszystkim, co słyszała w kościele i co powiedział jej sołtys.

— Ścierwyl! Zapłaciłbym dobrze! Niech mnie ino wydadzą! — szeptał, zaciskając pięście i grożąc niemi wsi.

— Cicho, dziecko, cicho, pojedziemy se. — I opowiedziała mu, jako już dawno, jak tylko przyszedł do niej, świtała w niej myśl, aby sprzedać grunt, chałupę, dobytek cały i wynieść się do tej Brazylji.

— Dobrze, matko, sprzedajcie wszystko, na wasze imię jest gospodarka, sprzedajcie i pojedziemy. A niechta te wszystkie przepadną, kiej człowiek poczciwy żyć nie może tutaj. Zabijaki ino same, a okpisy, a oszukańce, a Judasze. Jakby tylko najprędzej, matko! najprędzej! — wołał energicznie, twarz mu rozbliły nadzieją innego, lepszego i wolnego życia.

— Dobrze, chłopaku! Pójdę na wieś, to się przewiem pomiędzy ludźmi, albo i w karczmie rzeknę jakie słowo o gruncie, co powiedzą ludzie na to...

— A sołtysowi nie sprzedajcie, to Judasz najgorszy z całej wsi. Okpi was i jeszcze mnie wyda, żółtek ten zapowietrzony, a oczy to ma kiej u wilka...

— Leż se tu spokojnie, mów pacierz, a ja pójdę.

VIII.

— Jasiak pozostał sam w ogródku.

Nie mógł uleżeć spokojnie, różne myśli, różne przypuszczenia tak nim owładnęły, że kręcił się wciąż na posłaniu. Ten plan matki olśnił go i tak pociągał, że chciałby już, zaraz, w tej chwili rzucić wszystko i jechać w ten wielki świat. Uciec od tej strasznej myśli, która go wciąż prześladowała, że musi wrócić do więzienia, że musi odsiedzieć swoje... O, bo wiedział dobrze, że prędzej, czy później odnajdą go i wezmą. I tak mu było dziwno nieraz, że tak spokojnie leży już sześć tygodni u matki, że nikt go nie szukał!

To znów leżał spokojnie, patrzył w niebo prześwitujące pomiędzy kwiatami jabłoni i nasłuchiwał głosów wsi...

Jak mu się dusza rwała do tej szerokiej ulicy, obstawionej domami, do tych pól, które widział niewyraźnie przez gęste, wyplecione łożyną płoty ogródka, do ludzi znajomych, do kościoła, do pastwisk nad rzeką, gdzie tyle lat szczęśliwych przebiegał za bydłem, do karczmy, do Nastki wreszcie... ale to ostatnie imię wyrzucał z pamięci, chmurniał nagle i posępnym wzrokiem patrzył w bujną zieleń pokrzyw, co zieloną ścianą przy-

słaniały płoty—i zmógłszy się, nasłuchiwał i wyobrażał sobie, jak to idzie już środkiem drogi, jak ludzie stają, aby go powitać, jak to okna się otwierają i wyglądają niemi kobiety, a z za węglów wychylają się czerwone twarze dziewczuch... a wszyscy zapraszają do siebie... wysuwają ławki przed dom... częstują... a pytają... a cieszą się, że powrócił... że już zdrowy... a pomstują na rządcę, przez którego siedział... Nie, nie wejdzie nigdzie, nie... obaczy tylko wszystkich... pogada... rozpyta to i owo... i zaprosi parobków abo i gospodarzy do karczmy, na poczęstunek... na przywitanie... Muzykę sprowadzą... dziewczuchy przylecą i dalejże... wesele będzie a uciecha... siedzą jak na odpuscie...

Uśmiechał się do tych obrazów, przeżywał je wszystkie, pił rozkosz całym sercem... ale przyszło mu na pamięć to, co matka powtarzała za sołtysem.

— Wydałyby mnie! — jęknął cicho, blednąc śmiertelnie. — Wydałyby? — pytał jakby siebie. — Juści, żeby wydały... juści... Już jabym wam zapłacił za to, żeby wasze dzieci jeszcze popamiętały... — szepnął złowrogo.

Ale że się zmęczył myśleniem, wziął książkę od nabożeństwa, otworzył tam, gdzie było założone różańcem, i wodząc palcem po literach, żeby widzieć lepiej, półgłosem odmawiał nieszpory.

Słońce przygrzewało pocziwie; przez różowe kwiaty lało się dziwnie słodkie, rozpylone światło i drgało złotymi plamami po młodej trawie i po

Jaśka twarzy i włosach jasnych. Przeogromna ci-sza leżała w powietrzu, tam wysoko nad jabłonia-mi, gdzie tylko na tle błękitu przemykały jaskółki, a czasem ciągnęły sznurem kaczki dzikie...

Pod strzechą domu świergotały wróble, a ma-łe omszone szaro gąsienice przenosiły się z miejsca na miejsce, pod wodzą dwóch gęsi i gąsiora, któ-ry wciąż syczał i gonił kury po ogródku, lub do-skakiwał do maciory z prosiętami, która tak ener-gicznie czochała się o jabłonie, że listki kwiatów, niby deszcz różowy, spływały na trawę.

Rzeczka płynęła tuż za płotem i oddziela-jąc ich dom od wsi, bulgotała monotonna.

Było tak cicho, tak ciepło, tak dobrze...

Jasiek przestał się modlić i leżał jakby uto-piony w słodkiej szczęśliwości tego dnia majo-wego. Patrzył poprzez rozchwiane nieco girlandy kwiatów, patrzył daleko, w niebieski błękit, pa-trzył i zapominał o świecie całym. Wiatr miękki, słodki, pieśczośliwy obwiewał mu twarz i chwiał nad nim ukwieconemi gałęziami, pochylał ku nie-mu zielone łodygi chwastów, a jemu pierś rozsze-rzała się radością głęboką, czystą, radością życia, a oczy oczarowane, półsenne, tak niebieskie, jak błękit tam wysoko, pełne były cichych dziękczyn-nień i błogości niewypowiedzianych.

Czuł tylko niewyraźnie, że przez niego prze-pływa jakaś przesłodka fala tych blasków, barw, błękitów, słońca, zbóż szumiących, ciszy pół — ży-cia ziemi.

— Mroczy me jakoś! ćmi mi się w głowie!— Myślał chwilami o stanie swoim i nic nie widział i nie rozumiał, że Nastka przelazła przez płot od rzeki i stoi o parę kroków od niego, i patrzy — była blada jak chusta, jak te kwiaty jabłonek, pod któremi schylała nisko głowę.

— Jasiak! — szepnęła cicho i oczami pełnemi strachu, oczekiwania i miłości patrzyła w niego.

Nie usłyszał, nie zobaczył jej.

— Jasiak! — ach! tak trwożnie zatłukło jej serce, tak trwożnie.

Drgnął, powlókł oczami po trawie, po drzewach, po niej, przyciśniętej do jabłonki i przysłoniętej jej zwisłemi gałęziami, nie spostrzegł, zdawał mu się ten głos przywidzeniem.

Nie, już nie mogła wytrzymać, nie—przykłęła przy nim i dotykając palcami jego rąk, szepnęła cicho i łzawo:

— Jasiu! Jasiu!—Nie mogła więcej powiedzieć ze wzruszenia.

Aż usiadł na pościeli, zdumienie wyjrzało mu z szeroko otwartych oczów, chwycił ją za ręce, dotknął jej twarzy, włosów i opadł na poduszkę.

— Poszła... ty...—Nawet nie wiedział, jak mu się ta obelga wyrwała z piersi.

— Jaśku — adyc to ja!... Adyc ja do ciebie przyszła.. Jaśku... loboga.. — lzy rzesiste popłynęły z jej oczów, trzęsła się cała, jak te kwiaty jabłoni, które wiatr rzucał na nich, zamierała...

Pół wsi stało w ogniu.

— Popamiętajcie mnie! Popa... — nie skończył, jakaś groza straszna targnęła go za serce, słowa zamarzy mu w gardle, z rozszerzonych źrenic wyjrzał strach, przerażenie... zdumienie okropne.

— Wieś w ogniu! cała wieś! — zaskowyczał sinemi wargami — Jezus! Jezus!

Zaczął uciekać, ale nagle odwrócił się znów do ognia.

Dzwony były wciąż, były potężnie, rozpacznie, a razem ze spiżowemi głosami biegł od wsi straszny krzyk, jęk przerywany i rozlewał się po zielonych, szumiących zbożami polach i leciał w przestrzeń, ku słońcu jasnemu...

Jasiek powracał tą samą drogą, nic już nie wiedział, co się z nim stało, wpatrzony w szalejącą groble płomieni i dymów, usypaną nad wsią, szedł martwy z przerażenia i zgrozy.

.....

Cały środek wsi, po obu stronach drogi już był w ogniu.

Płomienne grzywy podnosiły się coraz wyżej, opadały na ścianę, przerzucały się, pienily gęstym czarnym dymem i chlustały czerwoną, straszoną falą ognia z budynku na budynek, z chałupy na chałupę, poprzez drogę, poprzez ogrody, które również palić się zaczęły.

Dzwony uderzyły na trwogę, a wieś całą zalał okropny krzyk rozpaczy, lamenty i płacze.

Ludzie biegali oszaleli zupełnie, nikt nie ratował, a ogień z triumfem szedł coraz dalej, ogarniał coraz szerzej, żarł coraz potężniej, szedł jak zły duch w chmurze dymów, przewalał się po domach, a gdzie stąpił, gdzie jego ognisty blask padł, tam buchały strugi ognia, szło nieszczęście i były krzyki rozpaczki ludzkich.

Nikt nie ratował, bo nie było czem, nie było narzędzi, nie było wody, nie było rąk, nikt nie miał przytomności, a przytem połowa męska ludności wyszła na obławę za Winciorkiem, a kobiety były w kościele na nieszpórach. A gdy się zbiegli, nie było już mowy o ratunku. Pół wsi płonęło.

Dzwony huczały żałośnie, a ksiądz wyszedł z kościoła z monstrancją, pod baldachimem, w otoczeniu świec zapalonych, dzwonek jęczących, ludu zrozpaczonego — i szedł środkiem wsi.

„Święty Boże“!

Buchnęło jak wulkan z piersi nieszczęsnych:
— Święty a nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami!

Skowyczały serca i szli zbitą gęstwą pomiędzy ścianami ognia, w zgiełku padających ścian, w deszczu ognistych żagwi i iskier, w chaosie szumów, świstów i syków żywiołu — który tarzał się po wsi, podnosił tysiączne, rozwichrzone łby do słońca, zapadał we wnętrzu chałup i z wściekłością pożerał i trutował wszystko...

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny! — intonował ksiądz uroczystym głosem, a łzy lały mu

się strumieniem po twarzy. Dzwony wciąż huczały mocno... posępnie.

A lud cały w krzyku, w obłąkaniu, w męce, wył setkami głosów:

Zachowaj nas Panie!

Procesja obchodziła teraz wieś dokoła, szła ogrodami.

Wójt i pisarz zaczęli też organizować jakiś ratunek.

— Kto podpalił?

— Winciorek! Winciorek!

Widziano przecież, jak się zapaliła stodoła tam, gdzie się schował.

— Winciorek! Podpalacz! Dawać go! — rozległ się taki krzyk, że ogłuszył na chwilę śpiewy procesji.

Zemstą zawrzały wszystkie dusze, straszną zemstą.

— Szukać go, łapać! zabić! — wołano ze wszystkich stron.

Ale nikt nie wiedział, gdzie on jest.

Cała gromada rozwścieczonych, oszalałych rzuciła się do jego domu, za wodę, gdzie nie groziło niebezpieczeństwo.

Na progu siedziała Tekla i na widok chłopów biegnących, podniosła się, jak widmo, pochwyciła jakiś kołek i wrzeszczała obłąkana:

— Nie dom! nie dom! nie dom!

Za nią, z wnętrza domu, ukazała się wysoka postać Jaśka...

— Jest! jest. Dawać go! — wrzasnął tłum.

Rzucili się na dom, w mgnieniu oka rozturbowali Teklę, bo jak suka broniła przystępu do drzwi, ale Jasiek jakimś ostatnim ruchem przytomności skoczył na górę, pod dach i zrzucił za sobą drabinę.

— Spalić, spalić! — zaryczano.

Zamknięto drzwi, pozabijano kołkami, podparli okna deskami, zawalili wyjścia płotami, czem kto mógł i podpalili dom ze wszystkich stron — otoczyli go dokoła i czekali...

Słomiany dach zajął się prędko, a w parę minut był już cały dom w ogniu, w kłębach dymów.

Jasiek teraz dopiero oprzytomniał, gdy się dach przepalał i na głowę zaczęły się lać strugi ognia, skoczył do szczytu, wybił deskę i runął na dół prawie na ręce pilnujących chłopów.

Już się nie podniósł, bo kilkadziesiąt nóg, rąk i kijów spadło na niego.

— W ogień go! Za krzywdę naszą! W ogień — wrzeszczeli.

Kilkanaście rąk pochwyciło go za nogi i głowę, rozkołysali i jak tłumok rzucili na dach.

Dach się zapadł i buchnął ognistym tumanem skier.

Rozległ się tylko straszny, nieludzki krzyk z wnętrza domu.

Odpowiedział mu drugi, na drodze...

To matka powróciła do palącej się wsi, powróciła w chwili rzucenia syna w ogień.

Patrzyła martwym wzrokiem w płonący dom, stała z wyciągniętymi rękami, pochyłona, jakby biec chciała na zabicie.

— Sprawiedliwie! Sprawiedliwie! Sprawiedliwie! — powtarzała wolno, coraz ciszej... — rozkrzyżowała ręce, posiniała nagle i runęła martwa na ziemię.

Suchodębie, 12 sierpnia 1899 r.

